

POLSKA EMIGRACJA POLITYCZNA STANU WOJENNEGO 1981 DO NORWEGII

realizowany przez konsorcjum:



MAIHAUGEN



ARCHIWUM PAŃSTWOWE DOKUMENTACJI OSOBOWEJ I PŁACOWEJ W MILANÓWKU

OPPLANDSARKIVET AVDELING MAIHAUGEN W LILLEHAMMER

FUNDACJĘ KORPUS OCHOTNIKÓW SPECJALISTÓW W WARSZAWIE

**Wywiad z Kazimierzem ROCHOWICZEM
przeprowadzony przez Jacka Galewskiego (część polskojęzyczna)
i Karen Bleken (część norweskojęzyczna)
w Stavanger, dn. 11 czerwca 2010 roku**

Nazywam się Jacek Galewski; wraz z Karen Bleken reprezentujemy polską i norweską służbę archiwalną oraz Polską Fundację Korpus Ochotników Specjalistów, realizujące misję „Ocalmy od zapomnienia”.

Prowadzimy badanie dotyczące losów osób, które po wprowadzeniu stanu wojennego w roku 1981 doznały represji, a w dalszej konsekwencji opuściły Polskę i osiedliły się w Norwegii.

Chcielibyśmy porozmawiać o okolicznościach ich wyjazdu z Polski, jego następstwach i odczuciach z tym związanych. Nasza rozmowa będzie prowadzona w pierwszej części w języku polskim, w kolejnej części po norwesku, a następnie na zakończenie znowu w języku polskim.

Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery. Poza nagraniem archiwalnym z fragmentami po polsku i norwesku istnieje równoważna wersja pisemna z tłumaczeniem części norweskojęzycznych na polski.

Niniejsza wersja jest wersją całkowicie polskojęzyczną. *Tekst oznaczony kursywą stanowi tłumaczenie części norweskojęzycznej, gdzie osobą pytającą była norweska reporterka Karen Bleken.*

Kazimierz Rochowicz: Nazywam się Kazimierz Rochowicz. Urodziłem się 29 lutego 1952, to jest Susz, miejscowość w obecnym województwie mazursko-warmińskim, wychowałem się na wsi... Do dzisiaj mam rodzinę właśnie, którą często odwiedzam. Podstawowa szkoła, potem liceum w Iławie. Skończyłem Liceum Żeromskiego, Ogólnokształcące, no i po tym studia, na SGPiS.

JG: Kim byli pańscy rodzice?

KR: Rolnicy. Mama i tata. Gospodarstwo mieli, na którym żeśmy też pracowali, ja też

pomagałem i tak się tam rozwijałem w młodości. Dużo, dużo pracy. Pracowałem też fizycznie, tak, że poznałem trochę trud wychowania. Respektu do pracy, do obowiązków też. Liceum, po liceum...

JG: Czy pańscy rodzice mieszkali w tym miejscu przed wojną?

KR: Moja mama mieszkała jeszcze na terenie polskim, dziesięć kilometrów od tej miejscowości, na terenie polskim, w powiecie nowomiejskim, okolice miasta... Gminy Lubawa... Czy teraz to nie jest gmina, ale to Lubawa. A ojciec mieszkał w żuromińskim, w powiecie mławskim. Losy wojny takie były, że moja mama z rodziną swoją przeniosła się na tereny odzyskane. Przez granicę tylko przeszli, przez Drwęcę, która była granicą, z dawnej Polski na Prusy Wschodnie, które stały się polskim terenem. A ojciec był odważniejszy, bo wcześniej już... Jako, no, taki wojskowy, jednocześnie repatriant wykorzystał właśnie taką akcję, że wojskowi repatrianci, czy kombatanci wojskowi właśnie, mogli otrzymać za darmo od władzy ludowej jakieś małe gospodarstwo na terenach odzyskanych. No i przyjechał z mławskiego, przed mamą, o wiele wcześniej do tej wioski już na terenie Prus Wschodnich. Tam się osiedlili, wybrali nawet takie ładne gospodarstwo, najładniejszy dom, bo byli odważni, na początku. Moja mama ze swoimi rodzicami była mniej odważna, mimo że mieszkała blisko, przyjechała już na samym końcu, w takie marne gospodarstwo, już tam było rozrabowane i tak dalej. No i tam zaczęli działać, i poznali się.

JG: Poznali się już tam na miejscu?

KR: Tak, na miejscu się poznali tam. I ojciec... Miał szkołę tylko podstawową, ale to bardzo dobra... Dobry poziom szkolnictwa podstawowego w Polsce przedwojennej, na tyle...

JG: W którym roku urodził się pański ojciec?

KR: W 1914. Moja mama w 1923. I tam na początku już pracował w gminnym urzędzie do spraw obrony cywilnej, czy rekrutacji... Tak jakby jako wojskowy, może nie, ale wojskowymi sprawami się zajmował. Rejestracji, poboru młodego rocznika do wojska i tak dalej. Pierwsze dwa, czy trzy lata. Ale jednocześnie gospodarstwo prowadził. Tam w tej gminie pracował i nawet mógł dalej, go namawiali, żeby tam został, ale dziadek... Teść jego, mój dziadek, mówi „nie, musisz wrócić, tu, Stanisławie, na gospodarstwo, bo to trzeba, tutaj jest gospodarstwo, a nie w gminie, gdzieś tam będziesz”. A poza tym mój dziadek widział, co się dzieje, szybciej odczytywał niż ojciec jeszcze, bo ojciec przecież był młody, co się dzieje z... No, z ustrojem i że coś nie tak. I go tam prawie... No, namówił zdecydowanie, że „masz tam skończyć tę pracę, bo to nie jest ta władza, bo to nie jest...”. Opowiadali mi o tym, że ojciec mógł karierę zrobić, bo ładnie pisał. I właśnie, że mógł bez problemu... Pójść do szkół, czy tam doszkolić się, bo władza go ludowa zaczęła ciągnąć, bo widzą, że dobrze formułował pisma, szczególnie ładnie kaligraficznym, pięknym pismem, to do dzisiaj widzę, pamiątki... Wypełniał te dokumenty i tam w tej pracy się posługiwał. Miał duże fory i mógł dalej się rozwijać. Ale dziadek go z tego wyciągnął. I może i dobrze, bo faktycznie... Bo wtedy być może mógł się uwikłać, wiadomo, od razu w polityczne sprawy po stronie ludowej i tak dalej.

JG: A kim był pański dziadek?

KR: A dziadek, to gospodarzem... Urodził się na terenie niemieckim jeszcze, bo w 1890, tak, że do niemieckiej szkoły chodził. Te tereny właśnie w 1918, po plebiscycie... Czy tuż po pierwszej wojnie powstała, niezależna, niezawisła Polska. I znalazł się w granicach polskich. No i gospodarstwo prowadził. Jeśli chodzi o jego przekonania polityczne, to był narodowcem, wspierał Dmowskiego linię. Krytykował nawet

Piłsudskiego, bo Piłsudski mu się nie podobał, bo był początkowo... No... Partia socjalistyczna, a on uważał, że... No, takie było właśnie. Mimo że teraz zupełnie inaczej patrzymy na Piłsudskiego. Ale dziadek patrzył jako narodowiec, to mama mówiła, że był w narodowej partii, w jakimś tam odłamie i tak dalej, i jego brat też. Który był tak bardzo aktywny, brat dziadka, że Niemcy go raz wzięli do Oświęcimia, bo nie pracował, tylko tam zaczął knuć i tak dalej. Gdzieś spotkania jakieś i do pracy nie poszedł, tylko chciał, no, po swojemu działać. I zaczął tam coś działać w jakimś podziemiu takim drobnym. Niemcy to przyważyli i do Oświęcimia, po paru miesiącach go wypuścili. Do pracy się nie zgłosił i wtedy go chwycili jeszcze raz, do Sachsenhausen, i przysłali prochy po pół roku. W każdym razie brat dziadka w taki sposób. A był właśnie też w tym Stronnictwie Dmowskiego.

JG: Czy ma pan rodzeństwo?

KR: Tak. Czterech braci. Ja jestem środkowy. Dwóch młodszych, dwóch starszych.

JG: Jaka była atmosfera w pańskim domu?

KR: Bo ja to tak beładnie opowiadałem, że tutaj dziadka wpływ był bardzo duży, który... A później już ojca, bo jak ojciec zaczął już do tego wieku zbliżać się jak jak teraz, to też. Słuchałem, no, bardzo dużo... Miał dobrą pamięć i ciągle opowiadał o kampanii wrześniowej, o jego losie, bo potem był pięć lat ojciec w stalagu, w Niemczech, w Bawarii.

JG: Czy pański ojciec brał udział w kampanii wrześniowej? Był żołnierzem zawodowym?

KR: Tak, tak, w kampanii, bo... Nie, nie. Tylko w czynnej służbie. Tak, że poszedł w 1937, ale już nie wrócił, bo okres już... No, niebezpieczeństwa wojny, że przedłużyli służbę, nie wypuścili, bo już miał być zwolniony, po dwuletnim szkoleniu. Nie zwolnili go, tylko dali już na pogranicze. Na częstochowski kierunek, tam Armia „Łódź” i tak, że został... Wojsko dwa lata i potem kampania wrześniowa, 27 września gdzieś, do Warszawy się przedzierali, już drobne oddziały... I w Kampinosie ich tam... Tam rozkaz, że się rozwiązał...

JG: A jak trafił do Ludowego Wojska Polskiego?

KR: Nie był... Bo potem tylko go wzięli do Wojewódzkiej Rady Narodowej, bo potrafił pisać, a takich było mało. Że miał siedem klas szkoły podstawowej, to było wtedy wysokie wykształcenie. No i właśnie tam miał jakieś predyspozycje do pracy biurowej i dlatego go tam wzięli, ale zaczęli go ciągnąć od razu, żeby do partii, żeby tak... Żeby go szkolić, bo widzieli, że to może być z niego... Rosnąć jakiś funkcjonariusz państwowy, a dziadek zaczął go z tego wyciągać, że „nie tędy droga, masz tu, na gospodarstwo i rodziną się zajmować, a nie tam cię ciągną”.

JG: Zaczął pan mówić o wpływie ojca.

KR: Tak, tak. To dziadka był największy wpływ, że właśnie... Że dziadek z niemieckiego języka się do... Polski zaczął poznawać dopiero, jak już się ożenił, na terenie... Przez czytanie literatury Sienkiewicza, którego przeczytał wielokrotnie, z pamięci cytował wszelkie epizody, z Zagłobą i tak dalej, wszystkimi bohaterami tej wielkiej literatury sienkiewiczowskiej. To był ekspertem dziadek. Właśnie ciągle on nam to opowiadał i myśmy tak z powietrzem prawie, z mlekiem mamy i z powietrza, to z opowiadania dziadka tak chłonęli jako dzieci. A ojciec też właśnie był w pewny sposób tak już pokierowany, że... Też, jak potem jako wrześniowiec, to miał za sobą dużo, potem pięć lat w Niemczech i wrócił. No, nawet zapisał się do ZSLu, tam na wsi tylko.

To tak daleko zaszedł, mimo wszystko tam. No, ale naprawdę otwarty umysł i dzięki temu, że miał teścia takiego, który był bardzo aktywny, bardzo mocny, mówił to, co myślał i się nie bał, że go zawsze ostrzegali, że o dziadku to zawsze tam... Czy SB, czy jakaś milicja i tak dalej, to zawsze na niego patrzyli właśnie przez odpowiednią lupę i tam nie był gdzieś więziony i tak dalej... To to nie, ale był właśnie taki bardzo niepoprawny, jeśli chodzi o władzę i ten porządek, który spotkał... W którym się od razu odczytał i nie spodobał.

JG: Czy myśli pan, że to względu na nich poszedł pan do liceum i na studia?

KR: Jeśli chodzi o studia, to... To już ojciec... Nas z pięciu chłopaków trzech studiowało, to był sukces na całą wioskę niepowtórzony do dzisiaj, że z pięciu synów trzech skończyło studia. A to właśnie ojciec zawsze nam mówił, że „wszystko zrobię, musicie się chłopaki uczyć, uczyć, uczyć, bo to jest najważniejsze, mimo że ja mam siedem klas, a to jest najważniejsze”. Bo też chciał iść przed wojną do liceum, do gimnazjum w Żurominie, czy w Mławie, ale niestety... Sam opowiadał taki epizod, że brat jego... Bo miał brata jeszcze. Był zazdrosny o to, „że Stachu pójdzie do szkoły, na inteligenta, a ja tu będę w tej... Z ziemi, z... Tutaj pracował, się parał z gnojem. A on na inteligenta. Nie”. I tak opowiadał właśnie, że dziwne, że rodzice jakoś tak nie pokierowali, bo ojca rodzice nie mieli jakiegoś przygotowania w ogóle. To byli ludzie z dwoma, trzema klasami tylko. Wychowani na majątkach, na emigracji w Prusach, na emigracji, jako pracownicy rolni. Tylko. Tak, że nie było tam jakiegoś poparcia w rodzinie, od rodziców, no i ojciec nie poszedł, bo to też kosztowało. Mimo że ojciec ojca mojego, dziadek, że był na początku tym pracownikiem folwarcznym, doszedł do tego, że wyjechał za granicę, na emigrację. Uratowała go emigracja, we Francji siedem lat, tam gdzieś wokół Paryża. Takim był felczerem, no, weterynarz, ale bez wykształcenia, który dużo pracy miał na tych majątkach w lecznictwie, ze zwierzyną. No i wrócił, kupił gospodarstwo na wiosce pod Żurominem. Kupił gospodarstwo przed wojną i faktycznie od razu został sołtysem, bo niemiecki znał jeszcze jako folwarczy pracownik w Prusach. Potem jako pracownik we Francji jeszcze, jak tam był pięć albo siedem lat, to uważali, że to był już człowiek, który wyrósł ponad wszystko na tej wiosce. A mimo to właśnie ojciec nie miał poparcia i jakoś tak przegapili, że nie poszedł do szkoły średniej. A mimo wszystko wojsko go ukształtowało, potem w tym Wołkowysku ten pułk dużo. On opowiadał cały czas o historii, oni dostali z podstawówki bardzo piękną wiedzę, jeżeli chodzi o historię, o geografię. Ojciec ciągle to opowiadał.

JG: Który to był pułk?

KR: Trzeci pułk strzelców konnych, Wołkowysk. No i tam też szkolenia odpowiednie polityczne, przygotowanie tak patriotyczne, że, jak on opowiadał zawsze o tym pułku, to ciągle łzy, płakał, w szczegółach, że to było dla niego... No, wielka, godna szkoła. Wojsko, które... No, on opowiadał do grobowej deski, jeszcze ostatnie godziny, jak go spotkałem, to... Akurat w tym dniu... On dużo miał kontaktu z kombatantami, ale nie tak dużo, bo związek kombatantów był komunistyczny, tak, że nie było tam... On nie miał bezpośredniego kontaktu z tymi prawdziwymi ludźmi... No, z kombatantami. Tak, że, jak na łożu śmierci, był taki zjazd trzeciego pułku strzelców konnych w Grudziądzu, bo w Grudziądzu była szkoła kawalerii. No i ja mówię ojcu, że „słuchaj, jest zjazd w Grudziądzu”. On już leży, ostatnie godziny... Już się kończył, tylko godziny liczyli, jeszcze świadomy. Mówię „może byś kogoś tam spotkał, bo jednak zaczynają organizować”. To już było... Zmarł lat temu piętnaście, za demokracji, po Okrągłym Stole już. „O!”, mówił, „to ja bym wziął rower i pojechał”. Bo zawsze jeździł, do ostatniego momentu, jak zaniemógł, rowerem, tam bez problemu, wysportowany, szczupły, chudy, chudszy ode mnie. „Ja bym pojechał do Grudziądza”, mimo że do Grudziądza ponad

sto kilometrów. „Od razu bym pojechał na to spotkanie”. No i właśnie to był taki zaczyn. Ojciec mówił zawsze, że „chłopaki, synowie, musicie się uczyć, bo to jest najważniejsze. Najważniejsze. Ja wam nic nie mogę dać, bo bieda w gospodarstwie, podziału żadnego majątku, ale najważniejsza wiedza. Musicie”. No i ja SGPiS, no, to wtedy to była szkoła, gdzie ja się znalazłem wśród synów czerwonych. Wielu do dzisiaj tam... Czy Kołodko, czy Balcerowicz, to ja ich znałem z widzenia przynajmniej, z opowiadania, bo tam byli na innych wydziałach. Mniej więcej ten rocznik. Olechowski, to też, nawet do mojego pokoju przychodził. No, on wtedy doktorat robił, był to już 1974 albo 1973. Ja mieszkalem z takim kolegą z handlu zagranicznego, ja byłem na handlu wewnętrznym, właśnie go odwiedzał. Tak, że ta Szkoła, to była naszpikowana, no, rodzinami, właśnie dziećmi całej tej masy rządzącej, tej nomenklatury, jak to mówią. Niesamowicie naszpikowana. Mi się udało dostać dzięki punktom... Bo egzaminy tam jako tak zdałem, ale mi trochę brakowało. A dzięki tym słynnym punktom za pochodzenie chłopskie... Że dobre miałem z humanistycznych, z geografii, z historii wstępne, ale matematyka jak zwykle tam ciężko, że tak zdałem ledwo. I gdyby nie te punkty za pochodzenie, to bym miał problemy, żeby być zakwalifikowanym na pierwszy rok. No, ale potem mi jakoś poszło. Po pierwszym roku z czterdziestu ludzi... Tam były dość duże grupy, dziesiątka odpadła, prowincja cała została, tak jak ja z Podlasia dużo i tak dalej. Myśmy tam szarpali się, gryźli, grunt byle przejść. A dziesiątka wypadła Warszawiaków. Warszawiaków właśnie z tej nomenklatury, którzy, no, wiadomo, w jaki sposób się dostali. Taki był system szkolnictwa, że mimo wszystko, żeśmy już mieli szanse, przebijali się z prowincji.

JG: Czy kiedy wyjechał pan na studia mieszkał pan poza domem po raz pierwszy?

KR: W liceum... To nie daleko jest wsi, gdzie moja rodzina, dwa lata w internacie byłem, ostatnie dwa lata. A w Warszawie to w akademikach. Było na Madalińskiego 6/8, pamiętam, a potem ostatni rok na Jelonkach słynnych. Do dzisiaj tam jeszcze są resztki.

JG: Co robił pan po skończeniu studiów?

KR: Po studiach jeszcze rok... Bo było szkolenie obowiązkowe do SZORu, Szkoła Oficerów Rezerwy. Ośrodek Szkolenia Wojsk Lądowych Nalazki, słynny taki, w Elblągu, tam pół roku na szkoleniu i potem pół roku na... Wojska już praktyce, w Kołobrzegu. No i mianowany na podporucznika rezerwy. To jeszcze wtedy pierwsze stopnie oficerskie dostawali absolwenci. Do pracy dostałem się... Wtedy było bez problemów, wiadomo... W Ławie, właśnie w tym mieście, gdzie ja chodziłem do liceum, blisko rodziny, do Ławskich Zakładów Naprawy Samochodów. Taki zakład około tysiąca ludzi, część produkcja części samochodowych, remonty silników samochodów ciężarowych.

JG: A pan czym się tam zajmował?

KR: A takim byłem, no, rewidentem zakładowym, najpierw. Taka funkcja w handlu w dziale zbytu, potem w dziale organizacji, który podlegał bezpośrednio dyrektorowi naczelnemu. Taki informacyjno-organizacyjny dział, instruktażowy, czy tam się akty prawne, które się tworzyło... Instrukcje, jakieś rozporządzenia, tak bezpośrednio podlegałem jakby pod dyrektora naczelnego. Asystent taki dyrektora, dział organizacji. A potem był dział zbytu, a na końcu księgowości i rewident zakładowy. Bo ja kończyłem ekonomiczną... Kontrola... Pracę magisterską pisałem z kontroli wewnętrznej, to jest taka ekonomiczna... Wiadomo, to takie socjalistyczne nazewnictwo, bo tego nie ma. I rewident zakładowy to też takiej funkcji nie ma.

JG: W którym roku pan zaczął pracę?

KR: Po wojsku. W 1977 w styczniu.

JG: **Ja chciałbym zmierzać w stronę tego, co doprowadziło do pańskiego wyjazdu z Polski.**

KR: Tak, bo będzie trwało pięć godzin.

JG: **Czy założył pan rodzinę po tym, jak się pan sprowadził do pracy do Ławy?**

KR: Tak, tak. We wrześniu w 1980 roku właśnie miałem ślub. Tak, że to było w tym momencie newralgicznym, kiedy już... 20 września ślub, a dwadzieścia dni wcześniej wydarzenia na Wybrzeżu i powstanie... Strajki, powstanie „Solidarności”.

JG: **Macie państwo dzieci?**

KR: Tak, tak, syna.

JG: **A jak pan zapamiętał sierpień 1980 roku? To się zbiegło z pańskim małżeństwem.**

KR: Tak, bo to tak... Wybuchło nagle. Faktycznie, no... Wiedziałem o tym, co się działo w 1976, bo akurat kończyłem wtedy studia, byłem w Warszawie. Pamiętam, że tam był zablokowany ruch i tak dalej, bo na Jelonkach pojechałem odwiedzić znajomych, w czerwcu 1976, a tu mówią w radio o jakichś tam rozróbach, no, chuliganerii w Radomiu i tak dalej, ale myśmy już wiedzieli, że to nie tak, bo jednak myśmy rozmawiali z kolegami.

JG: **A co pan wtedy wiedział?**

KR: No, bardzo mało. Tylko to, co z „Wolnej Europy”, co właśnie od dziadka, on pilnował, żeby było radio zawsze uszykowane i bateria naładowana, Radia „Wolnej Europy” tylko i wyłącznie.

JG: **Czy pan słuchał „Wolnej Europy” będąc na studiach?**

KR: A w Warszawie... Tak, tak, non stop. W domu, jak tylko można było, to ciągle żeśmy słuchali, już od małego, już w domu właśnie.

JG: **A czy zetknął się pan w już czasie studiów z jakimiś wydawnictwami drugiego obiegu, z czymś z zagranicy sprowadzanym?**

KR: Na studiach właśnie nie. To takie minimalne były tylko przebłyski, gdzie potem sobie skojarzyłem, jeśli chodzi o SGPiS, to niestety się nie spotkałem. To były tylko jakieś jednostki, gdzieś tam... Ta opozycja była, naprawdę, ja tak uważam, bardzo nieliczna. I ci, co rozpoczynali, to byli wielcy ludzie na ogół. Jak Macierewicz, czy KOR, czy z jednej strony tej lewicowej części, czy prawicowej, bo pierwszy KOR, czy tam ROPCiO, czy „Młoda Polska” i tak dalej. Potem spotkałem w internowaniu. To były... Nieliczni... Ja się z nikim nie spotkałem, tylko tyle, że było święto „Trybuny Ludu”... Miałem kolegę, który potem dziennikarkę skończył, po SGPiSie jeszcze poszedł. I w święto „Trybuny Ludu” wystawiano model małego fiata, samą tylko karoserię, na takich platformach, na placu Defilad. Wielkie prezentacje, że będzie już samochód dla robotnika za... Czy tam tyle miał kosztować, trzydzieści tysięcy. Wielkie święto i właśnie ten kolega wrócił stamtąd, opowiadał mi, że zrobili rozróbę, że zaczęli tam krzyczeć, jakieś ulotki rzucać. I on się w to włączył, ten kolega mój właśnie z SGPiSu. No i dostał pałami. Ale mówi, że „Kazik, ja już wiem, jak się bronić przed pałami. Nie trzeba uciekać, bo wtedy dostajesz jeszcze... Jeszcze masz szansę dostać mocniejsze razy, bo on ma wtedy możliwość zamachu, ten milicjant, tylko ja się zawsze przytulałem do tego milicjanta. Jak on na mnie, to ja do niego i on nie mógł, i po prostu wykonać jakichś ruchów zamaszystych, żeby mnie ten”. Ale potem za dwa dni idziemy do Madalińskiego,

z innym kolegą, z którym biegałem. Byłem czynny sportowo. A podobnym kolegą do tego, który tam wpadł w tę potyczkę na placu, na tym święcie „Trybuny Ludu”, że pałowanie drobne było. I nagle jakichś podchodzi cywil do tego kolegi innego, który był bardzo podobny do tego z placu Defilad. „Proszę, niech pan idzie przede mną”. No i tak patrzy na niego, na jego ruchy. „Niech pan idzie z powrotem, w moją stronę. Dobrze. W porządku. Idź pan”. I żeśmy poszli dalej. Okazało się, że ta esbecja szukała tego człowieka, był bardzo podobny. Tylko że ten miał, no, ma większe, krzywe nogi, biegał średnie, długie dystanse, maratony i tutaj zauważył po tym chodzie, że ten mu nie pasował do wizerunku. Szukał tamtego człowieka, tego mojego kolegi. I ja wtedy złapałem to. Takie pierwsze spotkanie. Potem... Do kościoła świętej Anny... Wyszyński... Kazania, rekolekcje studenckie. Piękne przemówienia i spotkaliśmy się z Wyszyńskim. Tam był zespół przy kościele świętej Anny, warszawski chór studencki. Właśnie tam miałem koleżankę, która nas zaprosiła, że „chodźcie, po śpiewaniu, po rekolekcjach tam Wyszyński nas zaprasza, nasz chór”. Kolegów kilku żeśmy wzięli i to też przeżyłem niesamowicie, jak radio mówiło, te media komunistyczne, że pokazywali zawsze, że tak krzyczał ten Wyszyński, że taki, no... Autorytarny sposób bycia i tak dalej, mówienia, a tam, Boże... To taki ciepły człowiek, taki miły, taki... Jak żeśmy rozmawiali z nim, to do dzisiaj opowiadam, jak media potrafiły...

JG: Pan czuł się mocno związany z Kościołem?

KR: Tak, tak. Bo w rodzinie żeśmy dostali porządne wychowanie. Tak do dzisiaj tak staram się przekazywać, chociaż to coraz trudniej na obczyźnie, gdy chodzi o młodych naszych już następców.

JG: Ale byliśmy już przy sierpniu 1980.

KR: No, tak. Bo tak wróciłem. Właśnie jak strajki się rozpoczęły, to pierwszy moment... „Wolna Europa” mówiła, tak, ale dla mnie był szok, że wreszcie usłyszałem w ławie, sto kilometrów od Gdańska, 120 w prostej linii, głos na UKFie, miał porządną... Radio drogie chłopak, mój kuzyn. „Słuchaj, chodź, bo są bezpośrednio... Mówią tutaj ze Stocznii”. Słyszę Gwiazdę, pierwszy raz usłyszałem. Wałęsa, inni. Tak formułują... Bo zawsze, byłem przyzwyczajony tylko do tej mowy trawy, do tych funkcjonariuszy partyjnych i tak dalej, władzy, że ci tylko byli pokazywani i żeśmy słuchali. A tu nagle robotnicy jacyś mówią, jakim pięknym językiem. Doradcy jeszcze włączają się. No, bo się rozpoczął strajk. A Gdańsk dostał od razu zezwolenie, prawdopodobnie na emisję tylko na teren Gdańska. Bo później takie były... Wymóg też strajkujących. I byłem zaskoczony, że to doszło aż do ławy, bo on tak ściągnął to. Antenę miał dobrą. No i właśnie... Taki pierwszy moment, no i w zakładzie od razu zaczęli to komentować, że tam rozróby, że chuliganeria znów w Gdańsku, że nie powinno tak być, że to przecież partia dyskutuje i zaczęli chodzić emisariusze partyjni po halach, rozdawać kartki, żebyśmy pisali postulaty. Postulaty, że „co się nie podoba nam, przecież partia jest tak zawsze... Potrafi to zmieniać, wszystko tak ustawić, wszystko wyregulować, wszystko będzie dobrze”. No, to tam były postulaty, że ciągle wszystkiego brakuje, to najważniejsze te postulaty, bo nie ma ani na kartki... Nie ma nic i tak dalej, tutaj, jeżeli chodzi o funkcjonowanie zakładu, potem funkcjonowanie już konsumentów, że w sklepach nie ma, że ciężko. No, postulaty, „bo po co tam... Bo tam się wyrwyją, że chcą jakieś polityczne postulaty tutaj nikt nie żąda, tutaj...”. Faktycznie, w zakładzie były listy szerokie, zbierali, ale nic takiego nie było, tak jak w Gdańsku, tu nikt się nie odważył, że chcemy związku, tu, w tych postulatach. Tu nikt nie napisał, w moim zakładzie. Bo po prostu to była, no, Polska, że ta fala popłynęła dopiero od Gdańska. Myśmy się odważyli dopiero spotkać...

JG: Nie pańskim zakładzie nie było strajku?

KR: Nie było żadnego w moim zakładzie, a w innych to... Nie było, ale przyjeżdżali do nas emisariusze. Było dużo transportu, duży zakład, remonty na całą Polskę. Przy okazji to kierowcy... No i ja spotkałem z Elbląga, czy z Gdańska, nawet potem mówiłem tutaj Ryszardowi Kalinowskiemu... Ja się jego pytam, „czy ty czasem nie byłeś w naszym zakładzie, bo taki podobny człowiek...”. Bo on był kierowcą z zawodu też. Wtedy spotkałem kilku kierowców z całej Polski, z tych odważnych stron, z tych wielkich stron, takich jak Gdańsk, jak Wrocław. Oni zaczęli nagle do nas mówić, że „co wy tutaj? Tutaj nic u was, tam u nas to... Zobaczcie, to nic nie słyszycie...”. Ta „Wolna Europa” to też mało była... Bo też nie dociera. Nie docierają do wszystkich informacje. No i tak właśnie żeśmy oczy zaczęli otwierać, że ci ludzie zaczęli do nas mówić, że „jak chcecie, to przyjeźdźcie, wyślijcie kogoś, bo tam przecież już jest MKZ stworzony i cały Gdańsk stanął. W Szczecinie też... Dowiedcie się dokładnie, to nie tylko <Wolna Europa>, ale już konkrety. Że to tak nie jest, jak tu władza opisuje, że ktoś tam się buntuje, że straszą, że wojsko, Rosja... Armia radziecka wejdzie i to wszystko stłumi, że będzie przelew, że może być niedobrze. Że to tak nie jest. Przecież tam mamy doradców, tam Kościół się włączył. Naprawdę, to jest tak pokojowo, tak... Jak taka atmosfera...”, że aż łyzy mu ciekły, jak to nam mówił. To tylko, no... A mimo wszystko, to od nas, nie pamiętam, czy nawet ja... Nie pojechał nikt, nie był tam. Może prywatnie, ale nie z zakładu, żeby pojechać po tych rozmowach kierowców, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. My... Przestraszeni, ogólnie...

JG: Tak. A czy coś się zmieniło w zakładzie?

KR: Prowincja była przestraszona, nic się nie zmieniło. Nie, nie. Ja teraz małą mam pamięć, ale ja nie pamiętam nic rewelacyjnego. Nic, to tylko czekaliśmy na Gdańsk, w duchu zadowoleni, że wreszcie się, no, coś stawia. No, ale znów może przyjdź do tego przełomu, jak... Krew się może połączyć. Przestraszeni byliśmy tak samo. My przecież byliśmy w zakładzie, w zjednoczeniu transportu, wśród zakładów naprawy samochodów, to nawet ja... Przecież ja byłem przy dyrektorze, takim asystentem dyrektora. Ja nie wiedziałem wtedy nic na temat tego, że pierwszy strajk był w Lublinie, w zakładach naprawy samochodów. W czerwcu. Czyli wyprzedził w lipcu. I to nawet historia mało... To dopiero teraz, już tu, w Norwegii TVP Historia... Się dowiedziałem. Tam było, no, naprawdę wielki ruch, a to nie dotarło do naszego zakładu, nic. Żadnej informacji, nic, nikt nie... Nawet z tych... Bo jak tam wyjeżdżali tylko w delegacje, to ci czerwoni, z komuny, kierownicy, sekretarze i tak dalej. Tam jechali z delegacją do zakładu, ale oni pary nie wypuścili. A nie pojechał jakiś taki człowiek odważny, który miałby nastawione uszy, troszeczkę to interpretował inaczej. I dopiero po 30 sierpnia, podpisaniu umów, tych porozumień, 21 punktów w Gdańsku, ogłoszeniu na całą Polskę, dopiero w zakładzie właśnie kilku z pracowników się spotkało. Do dyrektora poszli z hal, z produkcyjnych wydziałów. Że „zakładamy komitet założycielski <Solidarności>, bo jest zatwierdzone przez rząd, Jagielski podpisał z Wałęsą, że mamy prawo do tworzenia wolnych związków zawodowych, niezależnych związków zawodowych”. Otworzyli oczy, „a wy jesteście z przekonaniem...? Nie, poczekajcie, przecież to możecie w tych związkach być, to też będziemy się... Będą się zmieniać i tak dalej. To przecież wszystko przyjdzie, a na pewno dostaną też dyspozycje od CRZZu, że się zmienią i też będą odpowiednio pracę związkową prowadzić. Tak jak „Solidarność”, która... Jak związki, które są oczekiwane przez Wałęsę, przez strajkujących w Gdańsku”. A tutaj chłopaki „nie, nie, to jest co innego, my też rozumiemy. To my się nie będziemy podpisywać pod CRZZ, my tworzymy swój komitet”. No i ja od razu, że trochę byłem taki, no, właśnie kontaktowy, czy trochę miałem kontakt z różnymi wydziałami, jako z

ramienia tej pracy, ja z nimi się skontaktowałem, oni się mnie też spytali. Mnie to bardzo zainteresowało. Ja mówię, „no, nie, to piękna rzecz, to się trzeba włączyć, trzeba im pomóc”. I oni mnie poprosili, jak zobaczyli, że ja z administracji, dla nich szok... Bo z administracji nikt tam się do nich nie odezwał, tylko tak patrzeli, oglądali ich z boku. A ja się od razu włączyłem.

JG: Co było w tym takiego, co pana zainteresowało?

KR: Bo ja uwagi miałem z wychowania, z rodziny nastawienia tego, właśnie już na studiach pewne kontakty, no i to słuchanie częste bardzo „Wolnej Europy” i mimo wszystko jakieś pewne przygotowanie. I taką odwagę złapałem. Oni mnie poprosili, „dobrze, nam pomożesz redagować pisma, informacje i tak dalej. Bo potrzebujemy kogoś piszącego i formułującego”. I to mi się spodobało, i żeśmy komitet stworzyli. Ja prowadziłem sprawy informacji ogólnej, organizowania zebrań, przygotowania informacji wewnętrznej, przekazywania na zewnątrz, co przychodziło z kolportażu, a oczywiście, jak zobaczyłem, że tutaj idzie jeszcze historia, jeszcze inne sprawy niż związkowe, mnie to bardzo zainteresowało, bo historię się zawsze interesowałem. I to mnie pociągnęło najbardziej. Nie dzielenie szamponu i mydła na czworo, bo też żeśmy... Byłem w takiej komisji, w ramach „Solidarności” oczywiście, bo na przykład do sklepiku zakładowego przychodziły cztery szampony. Tysiąc ludzi, cztery szampony, dziesięć paczek żyletek. Autentycznie, ja pisałem... Specjalnie lubiłem właśnie protokołować to. Więc tak, ten wydział ma dwustu, ten wydział ma trzystu, administracja ma dwustu. Więc jak cztery szampony, to... „Słuchajcie: Albo losowanie...?”. „Nie”. „To jest demokratyczne, to na każdy wydział po jednym szamponie, a wy potem już twórcie swój komitet...”. Ja tak w poważny sposób i to zapisywaliśmy, komisja CRZZ i komitetu założycielskiego „Solidarności”. Taką funkcję, to nie była polityczna, czy kolportaż prasy, szerzenia tej nowej, no, rewolucji solidarnościowej, ale właśnie protokołowanie spraw podziału tych środków, których brakowało, no, w kioskach. Wiadomo, żywnościowe też tam różne, do higieny szczególnie. Wtedy to były śmieszne rzeczy, ale to było protokołowane i ja to robiłem celowo. Tylko że te wszystkie dokumenty, protokoły moje esbecja, jak wprowadzono stan wojenny, zabrano, oczyszczono. Bardzo żałuję.

JG: Czy był taki moment, kiedy poczuł się pan zagrożony albo sądził, że to może mieć jakieś konsekwencje dla pańskiej rodziny?

KR: Raczej nie. Nie, czuliśmy się mocni. Szczególnie właśnie takie sytuacje, jak... Bo pracowałem w radiowęźle. Żeśmy prowadzili radiowęzeł i w czasie przerw śniadaniowych, jak były jakieś rocznice, katyńska, czy jak 17 września, to przygotowałem oczywiście, materiału miałem dużo z zewnątrz, audycję. Czy ja czytałem, czy tam koleżanka, no i wtedy oczy otwierali ludzie młodzi, że „skąd ty to wiesz, że takie rzeczy... Że tak w Katyniu... Tak nóż w plecy 17 września”. No i mówili mi „czy ty się nie boisz? To prawda?”. Ja mówię, „no, jak to nieprawda, to już naprawdę... Ludzie, to musicie otworzyć, przecież macie chyba rodziców, dziadków”. Niektórzy tylko się pochowali, cisi i bojaźliwi, bo tak było w prowincji, że nie mówili o tym ludzie. No, bo za to by do więzienia... Za informowanie nawet o tym szli.

JG: Jak zapamiętał pan wprowadzenie stanu wojennego?

KR: To było zupełne zaskoczenie. Absolutnie. Była mowa, że mogą wprowadzić stan, ale w to nikt nie wierzył. Że to tylko straszenie kolejne i tak dalej, bo takie było podejście. W marcu, 30 marca, jak był kryzys w Bydgoszczy, to było wtedy... A to zupełnie w przepiękny sposób nas spacyfikowali i tak zostaliśmy... Nawet świadomości, tutaj, na prowincji. Może gdzieś tam wiedzieli, ci z Krajowej Komisji i tak dalej, niektórzy.

Ale tutaj, my, to zupełnie nie, że coś takiego się może zdarzyć. Ja o szóstej wróciłem 12 grudnia wieczorem z Olsztyna, przywiozłem trochę książek historycznych. Wydawnictw, które się pojawiły wtedy, w tym okresie akurat. Dobrze tak chyba z dwadzieścia pozycji, tak sobie rozłożyłem na ławę... Boże, ach, będzie teraz naprawdę intelektualna rozkosz, bo lubiałem czytać i wreszcie informacji będę miał do swoich tematów i tak dalej. Podstawy to porządne, nie jakieś tam byle jakie, naszych historyków... Solżenicyna też miałem... I tak sobie po... Zmęczony wróciłem i tak przysnąłem trochę przed telewizorem, mnie obudził jakiś szum, że nagle, po dwunastej jakoś filmy wszelkie wyłączone zostały. Ale nic, ten szum mnie obudził. No i poszedłem... Położyłem się spać, a o szóstej nagle... Przed szóstą słyszę gong do drzwi. I patrzę przez wizjer, ale na korytarzu ciemno. „Boże, no, ktoś dzwoni i jak? Nie włączył sobie światła? Co? Jakiś napad”. Przestraszyłem się. Ale się odezwałem, wydukałem z siebie, ze strachu, „kto tam?”, przerywanym głosem. Już z takim ogromnym strachem, autentycznie. I tam się odezwał głos, „niech się pan nie boi, proszę otworzyć drzwi, my jesteśmy z Milicji Obywatelskiej, z ławy”. Tak odważnie, prosto, to mnie uspokoiło, bo spoglądam, że nie jakiś złodziej, nie bandyta, no, ale milicja, to może coś się stało, gdzieś tam kogoś okradli albo coś się... Czy tam jakiś przypadek kryminalny może gdzieś pod oknem albo co. Może ktoś chce dowiedzieć się. A taki poruszony byłem, przestraszony. Otworzyłem i patrzę, poznaję jednego z mojego liceum, rówieśnika, w cywilu. Taki starszy ode mnie o rok, z liceum, jeszcze biegał też ze mną jako sportowiec. I jeszcze jeden... Dwóch cywilów i jeden był milicjant wśród nich, tego nie znałem. Tak, że to było dwóch z SB i milicjant i powiada „proszę nam otworzyć, przeszukamy tutaj pana mieszkanie. Czy pan ma jakieś wydawnictwa niedozwolone, jakieś książki zakazane, poza cenzurą?”. Mówię „nie mam. Jakie? Przecież są czasy już... Wszystko można czytać, przecież sami też chyba macie dojdzie... Ja mam, oczywiście”. Bo akurat weszli i wszystko to na stole leżało, te książki. No i weszli, „musimy to wszystko zaprotokołować, spisać, pan jeszcze jakieś ma inne”, to tam przejrzeni, bo biblioteczkę miałem. „I to musimy zabrać, i proszę pana, jeszcze musimy... Bierzemy pana na przesłuchanie na pewne informacje, pan musi nam powiedzieć, jeszcze pojechać z nami na komendę milicji, ponieważ jest...”. Ja mówię „dlaczego?”. „Ponieważ jest wprowadzony stan wojenny”. Ja nie skojarzyłem. Co za stan...? Zupełnie do mnie to nie przemówiło. I taki dokument mi przedstawiono: decyzja o internowaniu numer 14 Komendy Wojewódzkiej w Olsztynie. Ale ja dalej tego nie kojarzyłem. Bo ja teraz to tak mówię, bo to ułożone było po tym już wiele razy w komórkach. Ja nie przyjąłem tego. W stanie wojennym ja dalej potem skojarzyłem, że pewnie jakiś konflikt albo coś się wydarzyło, a ja, jako oficer rezerwy... Pomyślałem sobie, może chcą, no, mnie biorą, bo czasami milicja ściągala do rezerwy ludzi w nocy i tak dalej. No, ale jak powiedzieli o tych książkach poza cenzurą, to tu kojarzyłem, że to coś nie tak, coś mi tutaj... I ja mówię, że „no, tak, proszę panów, ja pojadę z wami, ale ja mam wycieczkę do Czechosłowacji mieć, po południu jechać, 13 grudnia, autokarem” Miałem spakowaną walizkę. Ja mówię „czy...?” A ten... Właśnie to było w taki sposób łagodny. Bo ja poznałem tego kolegę właśnie. To złagodziło sytuację. Zacerwieniony był, bo on mnie rozpoznał, też nie wiedział chyba, kto ja jestem, nie poznał, dopiero „od lat wcześniej kolega z liceum” i żeśmy na siebie weszli. On zażenowany, bo taki czerwony się zrobił na twarzy i zaczął się tłumaczyć, mówi „nie, no, pana puścimy, przesłuchamy, bo tam musimy, no i pana wypuścimy, pan zdąży na tą...”. A tak się jeden z drugim uśmiechał, ten milicjant, już się uśmiechał... Myślał „no, gdzie on...”. Zobaczyli czołgi i oni wiedzieli już więcej, w nocy.

JG: Czy pańska żona przy tym była?

KR: Nie, bo byliśmy już w separacji wtedy i... Ja byłem sam.

JG: Co działo się dalej?

KR: No i właśnie... I do samochodu... Ja mieszkałem na ulicy 1 Maja i jedziemy ulicą, i nagle nie jadą na komendę, która leży na innej ulicy, tylko wjeżdżają w bramę na tej samej ulicy, bramę więzienną. Wrota otwarte, dziesięć na dziesięć metrów. Wjechali. Jakiś taki byłem zamurowany, że nie stawiałem oporu. Pomyślałem, „no, coś tutaj nie tak”. Taki byłem zamurowany, zeszywniały i drętwy. Nie wiem, jak to powiedzieć. Nie opierałem się, no, po prostu przygotowany na wszystko. No, ale nie myślałem o tym... Nie bałem się, że może ktoś mnie będzie chciał zastrzelić albo... Najgorzej, jak wieźli gdzieś ludzi w las, bo takie były przeżycia, opowiadali mi koledzy, internowani. No, to gorzej. To mogli przeżywać, co się może dziać. Patrzę, że ci zdają pistolety, mieli ze sobą pistolety, z kabur musieli zdać straży więziennej. I dalej już mnie przekazali straży więziennej. Do piwnicy się dostałem. I tam w celi spotkałem Adama Golika z Elbląga, potem Janusza Mazura z Ławy. I akurat Janusza Mazura też z „Solidarności” tylko z innego zakładu. I jak zobaczyłem...

JG: Znał ich pan z innych komisji zakładowych?

KR: Tak, tak. Ja patrzę, wchodzę i się pytam... On tam przebudził się, ten drugi, którego nie znałem jeszcze, z Elbląga, poznałem go dopiero wtedy. Też tak spał uchem. Ten Adam Golik, on dużo pisał i tam w takich relacjach swoich po... Że właśnie Rochowicz wszedł i się roześmiał, mówi „co wy tu robicie?”. Spodobało się im to, chłopakom, tak dla rozrywki, mimo że okno było piwniczne, głęboka cela piwniczna, nie było widać nic, tylko śnieg i mur. I żadnego światła, tylko tam trochę światło sztuczne w tej celi piwnicznej, dwa na trzy. „Co wy tu robicie?”. Tak spytałem się. No, ale się poczułem już pewniejszy. „No, nie to już jest... Tu jest znajomy” i tamten mówi „a ty też?”, a ja, że „skąd myślisz, że skąd? No, też z <Solidarności>. Nas przywieźli z Elbląga. I tu jeszcze wielu więcej przywieźli”. I zaczęli mówić, skąd to przywozili. Tak, że nas była trójka wtedy, w tym momencie. Ale wcześniej, jak żeśmy weszli do tej celi, to wszystko, zegarki i tak dalej, wszelkie osobiste dokumenty, zegarki, pieniądze i tak dalej nam zabrano, spisano tam i zamknięto pod klucz. No i potem pamiętam taką atmosferę, że jednak zaczęliśmy mówić, że nas tu wieziono całą noc, tam z Elbląga, że już tam do niektórych to musieli wyłamywać drzwi, niektórych siłą brali, bo chłopaki zaskoczeni, stawiali się. A ja mówiłem „no, ja tutaj... Mnie to znajomi wzięli”, ja mówię, bo to z liceum. A potem wychodzimy z miskami blaszanymi po śniadanie pierwsze. Bo ja tam byłem gdzieś o wpół do siódmej zamknięty z rana. Tam chyba około dziesiątej, po tym wszystkim jakieś śniadanie nam... Że kapustę i tak dalej, tam takie proste więzienne, no, ohydne trochę jedzenie. Ale potem już się poprawiło, jak tam zaczął Czerwony Krzyż interweniować, Kościół interweniować i tak dalej, to poprawiło się trochę. To było takie jedzenie, jak więźniowie dostawali. No i nagle poznaję, przychodzi funkcjonariusz, kolega z liceum, starszy o rok, Kazimierz Paluszewski, wita się elegancko. Nie, ja nie pamiętam, czy podawał... Nie, on nie podawał ręki. Nie pamiętam, nie wiem, dla dobra jego, czy podawał. Ale taki miły człowiek, którego ja znałem zupełnie z... Ja nie wiedziałem, że on tam pracował. „Jestem waszym wychowawcą”. No i „panowie skąd, skąd?”. I tak mnie zobaczył, mówi „Kaziu, ciebie, takiego porządnego człowieka zamknęli, takiego spokojnego”. Tak zaczął mówić, tak zmiękczać, że do mnie mówił, a jednocześnie i oni też słuchali, w taki sposób łagodził sytuację. Bo jak mnie tutaj poznał, kolega kolegę spotyka. I co ma wtedy kolega koledze powiedzieć. No, drugi może by się odwrócił i nie wszedł albo zupełnie nic nie powiedział, a ten jednak był na odpowiednim, no, poziomie kultury osobistej, czy w ogóle człowiek. Wiadomo, przecież byliśmy u tych samych nauczycieli, mieszkaliśmy w internacie tym samym nawet, tak, że żeśmy się znali bardzo dobrze. I tak trochę przełamał tę atmosferę, nawet pomógł i

tym moim kolegom, i mnie też. Mówi „Kaziu, przecież to was zwolnią. To jakieś nieporozumienie”. To był też odważny, że... Ale wiedział, że przecież to... „Może zwolnią, to tylko taka akcja jest. Jesteś z <Solidarności>, ja wiem...”.

JG: Jak długo był pan w ławie?

KR: No, w ławie pół roku, do czerwca, koniec czerwca. Rozwiązali ten obóz i wywieźli nas w różne inne kierunki. Zlikwidowany został obóz, a ja zostałem zawieszony do Kwidzyna. A większość ludzi z Krajowej Komisji, czy tam z KPNU... Z wyższych instancji solidarnościowych, czy tych niepodległościowych, czy studentów, z organizacji, którzy mieli funkcje wyższe niż ja, ja tam byłem tylko członkiem komisji zakładowej, wywieźli do Łupkowa, do innych obozów, tam... No, tam na przykład Macierewicz siedział z nami, w ławie. No, to on tam został wywieziony. Syryjczyk też. Był Geremek, ale on siedział tylko kilka dni i został od razu przewieziony, po kilku dniach, do, nie wiem, Białogóry może albo gdzieś. A nas do Kwidzyna i do Kwidzyna zjechały się grupy z innych jeszcze ośrodków internowania. Po prostu zmniejszyli ilość ośrodków w połowie 1982 roku. I w Kwidzynie jeszcze siedziałem do 3 grudnia. Tak, że bez dziesięciu dni rok czasu. A były podejścia, właśnie zaczęły się od tego wychowawcy, mojego kolegi, który mówił, że „słuchaj, Kaziu, przecież tutaj przychodzą, ci przyjeżdżają z Olsztyna funkcjonariusze z SB, czy tam z tej informacji, czy tam skąd. Oni będą z wami rozmowy prowadzili? Przecież ja uważam, że ty tutaj, co ty? Przecież ty nie jesteś kryminalistą. Przecież ciebie znam, nic nie podpadłeś, tutaj, no, dlaczego?”. Bo on myślał, on dalej kojarzył sobie, że właśnie ci... Tak naprawdę to tak było widocznie. Mnie to znał, ale on mówił to, co media mówiły, co Urban mówił. Że „tutaj ekstrema została zamknięta” pierwsza informacja 13 grudnia była z rana. „Ekstrema, która rozwala system, burzy porządek”. I on tu mnie zobaczył, „no, to ty im to wyjaśnij. Nieporozumienie. Przyjadą, porozmawiamy, on do ciebie przyjdzie, na rozmowę cię zawoła, ten z SB... Problemy wyjaśnisz i cię zwolni. Miesiąc maks i wyjdiesz. Może na święta jeszcze wyjdiesz”. No, ale okazało się, że przed świętami nikt nie przyszedł i po świętach się zjawiał.

JG: A kiedy były pierwsze widzenia?

KR: To po świętach dopiero. Nie dali widzeń. Ksiądz, taki Lucjan Gellert z kościoła w ławie, który tam pierwszy wszedł na teren, dostał, znaczy wywalczył przez biskupa, przez instancje różne dojście do internowanych. No i właśnie to był pierwszy...

JG: Jeszcze w Boże Narodzenie?

KR: Nie, nie on chodził tylko pod murem w Wigilię. I nic więcej, to tylko. To tak blisko. Ale potem dopiero wszedł, w styczniu pierwszy raz. Wpuścili go tam, księdza z największej parafii, dziekana z ławy. On teraz jest emerytem.

JG: A jakie informacje docierały do więzienia?

KR: Ba, no, to później, to wiadomo, że przekazywały rodziny w grypsach, a tak najpierw, to był tylko taki kołchoźnik, mała skrzynka. No i „Trybuna Ludu” lub „Żołnierz Wolności” do czytania. To też tam ludzie brali, jak Syryjczyk mówił. Mówił, że to trzeba też czytać między wierszami. I zawsze tam studiował, co to oznacza. Zawsze nam interpretował. Później, jak się czasami można było spotkać na spacerniku, czy potem, po kilku miesiącach także zezwolili na jakieś drobne spotkania, na godzinę, na pół godziny, żeby porozmawiać z sobą w celi. Strażnik oczywiście zezwalał i wtedy takie sobie robiliśmy szkolenia, czy naukę języków, czy rozmowy polityczne i na tematy różne, kto tam chciał coś powiedzieć, jak Syryjczyk, jak tam kilka postaci, naukowców z UMK z Torunia. No, różne tematy, żeby się nie nudzić, mimo że, wiadomo, to było tylko

skrawkowe takie przedsięwzięcie, żeby się ratować, tę nudę więzienną, bezczynność.

JG: Czy zna pan powody, dla których został pan tak późno zwolniony?

KR: No, to główne takie, że przyszedł ten właśnie ubek... No i okazało się, że jednak nie miał racji ten mój kolega, funkcjonariusz, wychowawca tak zwany naszego oddziału internowanych, no, bo ten powiedział „ale musi pan podpisać akt lojalności”, który Urban ogłosił, że „nie będę czynnie brał udziału, no, w zawieszonych związkach <Solidarności> i tak dalej”. No i że „jak takie pan coś podpisze, no, to zastanowimy się i może pan być zwolniony”. Ale chłopaki mówili od razu „nie chodźcie w ogóle do nich na rozmowy, bo to jest bezsensowne, bo to prowadzi w jednym kierunku, rozpoznani jesteście psychologicznie, cała sylwetka wasza rozpisana i wtedy będą was podchodzić i łamać, i namawiać, i tak dalej. Zobaczycie, że naprawdę...”. Tacy już porządni, starzy, bo akowiec jeden ze mną, z powstania warszawskiego siedział, taki dziadek. On mówił „słuchajcie, to jest tak i tak...”. Bo on jeszcze potem za Stalina siedział. „Naprawdę, nie chodźcie do nich, po co? Bo to i tak wam nic nie da. Was wcześniej i tak nie zwolnią”. Ale większość chodziła. Ja też poszedłem. Mówię „co tam, no, trzeba jakoś tak, wiadomo, leciutko, delikatnie, na paluszkach”. Może zwolnią, bo tam wielu rodziny... Wielu było przestraszonych i tak uważało, że trzeba. No i ja... Ale zrobiłem to... Ten akt lojalności podpisałem, a podpisałem, tylko że wymyśliłem nie ten, który był przedstawiony, położony mi na blacie, Urbana taki tekst, że „będę postępował zgodnie z przepisami stanu wojennego, aktem o stanie wojennym i nie sprzeciwiał się władzy i tak dalej, i nie [będę] organizował żadnych spotkań, czy akcji przeciw systemowi stanu wojennego”. A ja napisałem wtedy w ten sposób, bo mam na tyle wyrobioną świadomość prawną, że „nigdy przedtem nie łamałem prawa ani Konstytucji i innych przepisów, tak, że uważam, że to jest tylko normalnością, że będę to dalej kontynuował”. I podpisałem się. W taki sposób. Bardzo im się to nie spodobało. I zaczął kawę, i papierosa, i zaczął chodzić ten ubek... No, ale przyjął to, bo ja mówię, „no, ja tak podpiszę, niestety”. Myśmy tak rozmawiali z ludźmi w celi tam... Ja tak wymyśliłem, że chociaż w taki sposób chciałem, no, rozmiękczyć, w sposób mydlany przejść. Może, nie wiem, bawiłem się w jakąś inteligencję, czy jakąś emocjonalną może, że taki mi wpadło, jakaś opatrność oświeciła, że tak to zrobiłem. Jemu się to nie spodobało. No, ale tak i czekam na zwolnienie. Oczywiście, nic takiego nie przyszło, marzec... I ponownie esbek wrócił, ale już wtedy z propozycjami, że „proszę pana, jak pan chce być zwolniony, to musi podpisać pan współpracę z nami. Pana stanowisko jest rewident zakładowy. Pan strzeże, w systemie pracuje ochrony mienia, majątku, bo robi pan kontrole różne ekonomiczne, zakładowe, zużycia materiałów, wykorzystania... No, różne ekonomiczne sprawy. W stanie wojennym pana obowiązkiem jest wynikające już z czynności zakresu pana obowiązków, że pan musi także meldować o postawach politycznych pracowników, kierowników, bo to też ma wpływ na to, czy będą ci ludzie kraść, sabotować, zużywać więcej paliwa na hamowanie silników, czy gdzieś tam...”. I mnie w taki sposób sprytny nastawił. Że „pan musi, pan jest zobowiązany do meldowania także o postawach politycznych, o zachowaniach emocjonalnych i tak dalej, bo to też ma wpływ na gospodarowanie w zakładzie”. Ja oczy otwieram, a mówię „przepraszam pana, ja wiem, pisałem pracę magisterską z kontroli, nic takiego tam... Nawet byłem w szkole, która, faktycznie jest... Miałem kolegów z nomenklatury, ja spoza niej byłem, z prowincji, ale tam nie napisane było, że postawy. No, postawy to jest wiadomo, psychologia zawodowa i tak dalej, i pewne rzeczy, integracja pracowników. To jest co innego, niech pan mi nie mówi, że ja będę o politycznych... Że on powie, że jemu się nie podoba kłamstwo katyńskie albo coś tam z datą jakąś historyczną, albo z wydarzeniem. To nie ma żadnego wpływu”. No i to się oparłem. I mówię, że „ja na pewno takiego czegoś nie podpiszę”. No i potem jeszcze innego przystali. Ponownie namawiał, tak

mnie łamał, że „widzi pan, jeszcze siedzi pan, jeszcze... Tu już zwalniamą, już maj przychodzi, ciepło, a pan jeszcze”. Ale potem na szczęście, jak ja siedziałem dłużej, to tym bardziej to oddziaływanie kolegów z tych regionów dużych i tak dalej... Ludzie, którzy mieli trochę bardziej przygotowany może kręgosłup, może bardziej odważni, czy już więcej na ten temat... No, przeżyli już trochę kontaktu z tym, przedtem jeszcze, na sobie, z milicją. Że to wpłynęło na to, że jednak już się człowiek twardszy zrobił, odważniejszy, że mówię „nie, dziękuję bardzo, nic takiego nie będzie, żadnej współpracy nie będzie”. No i potem się skończyły już wizyty.

JG: Czego się pan wtedy spodziewał?

KR: No, tak jeszcze mnie czekali. Nie, to znaczy ja widziałem cały czas, że na bieżąco, co miesiąc zwalniano kogoś tam. Ale i zamykano. To znaczy, że dużo było mowy, wiadomo, Kościół, papież, działania międzynarodowe i Reagan już do nas... Myśmy wnosili tam, już przemycali małe radyjka i tak dalej. Słuchaliśmy, to nas podbudowywało, rodziny nas wizytowały, podbudowywały, że jednak chyba będzie szło dobrze. No, przełamało się, jak Breżniew... I Wałęsę zwolnili. Akurat w tym czasie chyba jak Breżniew zmarł. No, to wtedy było wiadomo, już słyszeliśmy o tym... Żeśmy słyszeli część i wcześniej już, że będą zwolnienia... Już w lipcu. Ale potem przyszedł maj 1982, to jednak były duże jeszcze dalej akcje zamykania kolejnych internowanych.

JG: Co pan robił w grudniu, po wyjściu? Wrócił pan do pracy?

KR: No, wtedy właśnie, jak mówiłem w separacji byłem... Wróciliśmy, żeśmy się spotkali, dogadali z moją eks-żoną, że jednak będziemy razem i... Mimo że w tym czasie, w czasie całego roku, ja miałem tylko jedne odwiedziny. Ja pisałem listy i tak dalej, ale nie miałem żadnej odpowiedzi, bo szło, w takim kierunku, nie było rezonansu z tamtej strony. Tak było. Że raz tylko, z półrocznym wtedy jeszcze moim synem była na odwiedzinach, ale te odwiedziny, ja do dzisiaj pamiętam, to były takie, że tam dostałem wykład, że „masz za karę, dobrze, że siedzisz”. Przy klawiszach, którzy słuchali, bo byli świadkami zawsze na widzeniach... Świadkowie byli obok. Że „dobrze, że siedzisz”. To mogę powiedzieć, ponieważ mam dobre tutaj, na terenie Norwegii, spotykam się tam czasami... Tak, że to nie można już rozpamiętywać. Ja nie wracam do tego, ona też do tego nie wraca. Ale wtedy to było surowe bardzo, że to dziecko, piękny synek, półroczny, tu leży na stole, a tutaj jestem... Ja wtedy to przeżyłem, jak myśmy... Mnie się serce rwało i łamało, że „dobrze”, że „miałam rację”, że „się miałeś nie zajmować, dobrze, że was pozamykali. Zamiast dbać o rodzinę, tu o dziecko, to doprowadziłeś do tego, co jest, do rozwodu”. Tak... No i dobrze. No, to tak...

JG: Mówmy o tym, co pan robił po wyjściu na wolność.

KR: Tak, tak. Wróciłem do pracy i rodzina z powrotem się połączyła. Tylko że do pracy tak, ale bardzo delikatnie, nie mogłem za dużo się kontaktować z moimi kolegami z „Solidarności”, no, bo moja eks-żona mówiła, że „nie masz się w to teraz mieszać, masz tu pilnować, bo znów cię zamkną. Masz tu pilnować”. I jak ja nieraz gdzieś schowałem jakieś papiery, bo jednak się bawiłem w to, nie mogłem bez tego jakoś... No, informacje, czy broszury i tak dalej, to pod dywanem gdzieś chowałem... To wtedy żona akurat znalazła, to do kosza od razu wyrzuciła. No i tak to była taka walka podjazdowa. Jak teraz to wspominam... Wróciłem, ale za cenę, że nie miałem się w ogóle kontaktować już z „Solidarnością”, nic nie robić w tym zakresie...

JG: I nie robił pan?

KR: Ale robiłem właśnie. Tylko że to było na zasadach... Druga twarz i poza wiedzą, i tak dalej. Musiałem taką konspirację... Konspirację w konspiracji. Czyli były dwie

konspiracje, jedna w rodzinie. Tak tam żeśmy założyli... To mało było tylko, wiadomo, spotkania prywatne ludzi z... Kilka osób z zakładu z „Solidarności”, czy z miasta Ławy. Kolportaż, czy na przykład akcje takie, jak Wałęsa dostał nagrodę Nobla, to wtedy pojechaliśmy. Ja zbierałem po cichu podpisy poparcia, gratulacje dla Lecha Wałęsy za wielką nagrodę Nobla, bo to jest i dla nas wielka cześć i chwała. I żeśmy pojechali w trójkę, z koleżankami z „Solidarności” z Ławy do Gdańska, spotkaliśmy Wałęsę. Wałęsa nas... Ja żałuję tego, że... Chciał nas zaprosić do swojego mieszkania, bo wracał z kościoła, myśmy wiedzieli, o której wraca z kościoła, z którego, to było jasne, z Brygidy. No, ale myśmy szczęśliwi żeśmy go spotkali i ja tak przynajmniej to załatwiłem, bo koleżanki chciały właśnie tam. Ja potem żałowałem, że nie byliśmy. I wręczyliśmy ten list gratulacyjny. Wałęsa tylko spojrzął, przeczytał, takim bezpośrednim swoim głosem, tak jak zawsze, mówi „szkoda, że was tak mało to podpisało, ale to nic, to też dobrze, to będzie w archiwum... W skarbcu w Częstochowie”, tak powiedział o tym, że „bądźcie dumni, trzymajmy się” i podziękował. I to takie właśnie drobne akty, to pamiętam to do dzisiaj. A tak, to drobne spotkania i drobna samopomoc taka. Organizację taką małą żeśmy założyli w zakładzie finansową, ale to tam było... Zapomogi, składki... Czyli pomagaliśmy w różny sposób, czy materialnie niektórym związkowcom naszym z „Solidarności”, czy w ogóle w jakichś problemach psychicznych, rodzinnych nawet. Wiadomo, no, takie wsparcie duchowe. Do tego jeszcze pielgrzymka była papieża, w 1983. To ja tylko byłem w Warszawie, ale to przeżyłem, że musiałem cały tydzień chodzić po sekretarzach, po dyrektorach, żeby jeden dostać dzień wolny w pracy. A to był piątek akurat. W Warszawie, na Stadionie Dziesięciolecia, papież. I nie mogłem dostać, aż do biskupa Obłaka chyba dzwoniłem, skarżyłem się, że tu mi nie chcą zezwolić. Nikt nie chciał mi podpisać zgody, bo jestem potrzebny w zakładzie. Ja mówię „ja to odpracuję w sobotę”. „Nie”, bo po prostu był wtedy, no, zakaz poruszania się. Ograniczali właśnie. To pamiętam do dzisiaj, że nagle aż takie ogromne trudności. Ja poruszyłem wszystko. Do sekretarza komitetu miejskiego, do dyrektora, do mojego przełożonego. Wszyscy się pozwalniali, bo widzieli, że cały dzień chodziłem, w czwartek, o tą zgodę. Chciałem formalnie, nie chciałem opuścić, że pojadę i... Bo mnie wtedy grozi coś więcej, no, bo to już było po internowaniu. No i poszedłem do dyrektora... Wszyscy wzięli wolne, mój przełożony, mój dyrektor. Chciałem jeszcze po raz wtóry, bo byłem u sekretarza, ponownie do nich, żeby jednak dostać tą zgodę. I tam któryś z kolei zastępca dyrektora mówi „ja panu się zgadzam. Niech pan jedzie. To panie Rochowicz, przecież, to pan naiwny? Pan jeszcze nie wie, że był stan wojenny, że pan był internowany i dlatego nie chcą pana puścić. Niech pan sobie to powie, dlaczego”. On tak mi powiedział, w sposób jasny, prosty. „No, ale ja panu dam”. On taki był właśnie, zawsze odważny. Zgodził się, zostawili jego, jako kozła ofiarnego... Niech jego mają w archiwum, że się zgodził na mój wyjazd. W nocy wróciliśmy, o czwartej, od razu na siódmą do pracy, żeby odpracować. No i przyszedłem do pracy, prawie że spałem, nikogo nie było, bo to sobota była. No i przyszedł mój kierownik, zadowolony, „o, pan Rochowicz wrócił, haha. Jak pan wrócił, to niech pan już idzie do domu. Ja pana już teraz zwalniam”. Ale zadowolony bardzo, pogratulował mi, że ja przyjechałem, szczęśliwy, że nic się nie stało, że ja gdzieś tam nie wmieszałem się w jakieś akcje. Bo oni właśnie uważali, że to spotkanie, msza z papieżem, to jest po prostu akcja terrorystyczna przeciw władzy i systemowi. Bo tak to władza odbierała. To tylko mówili ładnie, jak papieża spotykali i witali. A to było co innego, była walka.

JG: Pomówmy teraz o tym, jak doszło do pańskiego wyjazdu.

KR: Właśnie mój kolega, z którym siedziałem ponad pół roku w tej samej celi, wyjechał w 1983 do Stavanger, no i korespondowaliśmy.

JG: Kto to był?

KR: Brzozowski Dariusz. On tutaj był i korespondował ze mną. I mówi, że „Kazik, jak byś tak myślał o wyjeździe”, bo ja w ogóle... On myślał już wcześniej, a ja nie myślałem w ogóle, jak wychodziłem, że... Nie wyobrażałem sobie, że mam wyjechać za granicę. Bo rodzina moja, rolnicza, wspomagała mnie, wiadomo, że jedzenie i tak dalej, to miałem wszystko od rodziny, wszelką pomoc. „Nie wyjeżdżaj, bądź, trzymaj się, my ci pomożemy, nie potrzeba, dacie sobie radę”. No, ale tutaj sprawy weszły te właśnie, że myśmy się zesзли po separacji i doszliśmy do wniosku z moją eks-żoną, że na przetrzymanie i na ustabilizowanie małżeństwa będzie dobrze jak wyjedziemy za granicę, że się odczepimy, bo to zawsze jakieś były pewne sprawy, od rodzin, od wpływów, bo tam były pewne zarzuty... No i wtedy ja myślałem ratując rodzinę o tym, autentycznie. Bo to nie jest tak, że... Nie należałem do tych odważnych, żeby walizkę wziąć i wyjechać za granicę, nigdy. Do tych, co teraz na przykład wyjeżdżają. Nawet, że tu są czasy już zupełnie inne. Boże, nieporównywalne zupełnie. Żeby walizkę wziąć i jechać, w drogę. Rodzina mówiła, że „bądź, pomożemy ci, wszystko będzie okej”, no, ale moja eks-żona nie akceptowała tego. „Nie, nie chcę żadnej pomocy. My sobie damy radę, wyjedziemy za granicę”. „To dobrze”. Wyjechaliśmy, ale cztery dni po przyjeździe już się dowiedziałem od żony, że „my i tak nie będziemy razem”. To do dzisiaj to pamiętam. Taką deklarację. No i tak. To też... To jest daleko, 25 lat.

JG: Czy pan się przygotowywał do tego wyjazdu?

KR: Właśnie ten kolega pisał, że w Stavanger jest, że „tu system naprawdę... Że opieka, że przyjmują nas przez invänder kontor... Znaczą biuro dla imigrantów, że mieszkania na początku, że pracę pomogą załatwić i tak dalej, pomoc socjalna najpierw. Pierwsze, jak nie ma z czego, to tak w norweskim systemie jest tutaj, że wszystko to będzie i nie będziesz na ulicę zdany, naprawdę, bo to wszystko... Ja starałem się przez ambasadę, złożyłem pismo, że chcę do Stavanger. Tutaj poparcie było ze „Stavanger Aftenblad” takiego dziennikarza Steina Vigsvena, który był zaangażowany politycznie we wsparcie „Solidarności” w Polsce. Przyjeżdżał już przedtem, właśnie tego Darka Brzozowskiego znał. Tutaj strona norweska, czy nie jestem podstawiony jakiś, tylko że autentycznie mam podstawy, że byłem prześladowany, że udokumentowane internowanie, z powodu „Solidarności” i tak dalej. Bo jest wyjazdów było i tak dużo, wiadomo, że funkcjonariusze SB też powyjeżdżali. Dlatego. I właśnie tu było takie wsparcie, i tak jakby przegląd, ocena, że „Kazikowi trzeba pomóc... Że my go wesprzemy tutaj, w tej instytucji norweskiej...”. Dostałem wizę stałą.

JG: Byliście państwo zdecydowani jechać do Norwegii?

KR: Tak. Bo jak gdzieś indziej, to byśmy nie pojechali, znów w nieskończoność. Żeśmy na Stavanger załatwili, bo „tutaj będziemy, bo mamy znajomych”. I jedni, i drudzy jeszcze przyjechali. Taki moment był, że na lotnisku jestem, wyjeżdżamy i ambasada nam nocleg dała w „Forum”, w tym hotelu. Wyjeżdżamy, ja dostaję bilet z ambasady norweskiej, napisane jest „Oslo”. Przerażony, opadają mi ręce, drżą, mówię „co? Gdzie ja...? Przecież ja nie znam Oslo, nikogo nie mam znajomego. Przecież tam, Darek Brzozowski, do Stavanger”. Ja tłumaczę temu kierowcy, co nas z ambasady przywiózł norweskiej. Tłumaczę, „dlaczego? Co tu się stało?”. A on mówi „niech pan idzie, bo tu akurat jest ambasador norweski, który leci do Kopenhagi tym samym samolotem. Niech pan się jego spyta, przecież on zna tę sprawę”. No i właśnie on mnie zawołał, i ja do niego po niemiecku mówię, tam wydukałem, że „tutaj jest błąd, bo ja przecież załatwiałem oficjalnie, wszystko jest i podałem nazwiska jeszcze. Tutaj jest załatwione,

że mam miejsce w Stavanger, tylko i wyłącznie. A tu jest bilet... Jakiś błąd". On mówi „dobrze”. Napisał notatkę do informacji w Kopenhadze, „tam pójdzie pan na informację...”. Ja też przestraszony, Boże, pierwszy raz samolotem leciałem i tak w świat... „Ale pan tyle się dogada, jak niemiecki w miarę i panu tam zmieniają”. I ambasador wydał dyspozycję, że „proszę zmienić bilet na Stavanger”. A to była akcja dlatego, że w Stavanger był taki człowiek, który współpracował z polską ambasadą komunistyczną i z komunistycznymi władzami. On już nie żyje, już dawno. Który był po prostu podejrzewany o współpracę. I właśnie on zadziałał w taki sposób, bo dowiedział się, że... Miał kontrolę nad tym pełną... Że tu jedzie kolejny jakiś opozycjonista, który będzie mącił w Polonii i działał na rzecz „Solidarności”, i opozycji w Polsce. Właśnie on to zadziałał, bo potem żeśmy o tym się dowiedzieli. Brzozowski też ten temat znał i tak dalej. Jednak żeśmy dolecieli do Stavanger.

JG: Kiedy dokładnie państwo wyjeżdżaliście?

KR: 21 marca, w pierwszy dzień wiosny, 1984.

JG: To był wyjazd z paszportami w jedną stronę?

KR: Tak, w jedną stronę. I był paszport bez prawa powrotu. Tylko z adnotacją, że mogę się udać po dwóch latach do konsulatu polskiego, zmienić na konsularny. No i ja to spróbowałem zrobić, po roku.

Karin Bleken: Czy może mi Pan opowiedzieć o swoim przyjeździe do Norwegii? Kiedy i jak Pan przyjechał?

KR: *Przyjechałem 21 marca 1984r, w pierwszy dzień wiosny. W Polsce była bardzo ładna pogoda, ale tutaj było zimno, kamienie i śnieg. Trochę byłem zmartwiony gdy wylądowaliśmy. Nie było deszczowo, ale zimno. Przywitało mnie Biuro ds. Imigrantów i żona Steina Viksveena, który był pracował w redakcji zagranicznej w Stavanger Atfenblad. Obecnie mieszkają we Francji. Był wspaniałym człowiekiem, który bardzo pomagał Solidarności i nam, którzy przyjeżdżaliśmy do Stavanger. Sądzę, że było jakieś cztery-pięć, może sześć rodzin, które przyjechały do Stavanger z okolic Elbląga. W 1980 w Polsce powstała Solidarność i wiele pisano o Polsce i o Solidarności.*

KB: Jak zorganizował Pan podróż z Polski?

KR: *Znałem Dariusza Brzozowskiego, który przyjechał rok wcześniej. Siedzieliśmy razem w jednej celi w obozie dla internowanych. Byliśmy w kontakcie i gdy chciałem pojechać, mogłem wybrać odpowiedni moment. Było to bezpieczne dla rodzin zagranicznych, a w szczególności dla uchodźców politycznych; pomagała zarówno Norwegia jak i Polska. Otrzymałem wsparcie od lokalnych władz i dostałem wizę z Ambasady Norweskiej. Bilet został opłacony przez Szwajcarię (Komisarza ds. uchodźców w Genewie). Tak to zorganizowano, że zostaliśmy powitani przez przyjaciół, którzy przyjechali wcześniej i przez dziennikarza Viksveena. Dostaliśmy tymczasowe mieszkanie na Langhusveien. Obecnie w tym małym budynku mieści się przedszkole, w szwajcarskim stylu ekologicznym i wciąż stoi między blokami. Dostaliśmy parter w tym starym domu, ponad 150 metrów kwadratowych. Dostaliśmy pomoc na najważniejsze rzeczy, a także jedzenie, odzież itd. Takie rozporządzenie obowiązywało w Norwegii*

KB: Przyjechał Pan z kimś?

KR: *Z żoną, niestety była żoną. Byliśmy w separacji podczas okresu internowania. Po internowaniu zeszedliśmy się. Przyjechaliśmy do Norwegii, ale nie dało się być razem. Moja była żona powiedziała, że w Norwegii istnieje całkowite przyzwolenie na rozwód. Jesteśmy katolikami, ale tym nie mniej... Miała na myśli, że samotne matki otrzymują*

pełne wsparcie, i że mogłaby dostać lepszy zasiłek i przeżyć na dobrym poziomie nie potrzebując męża. Po czterech dniach dowiedziałem się, że nie będziemy razem. Rozwiedliśmy się półtora roku później, w 1986. Mamy syna. Teraz skończy 29 lat i mam małą wnuczkę.

KB: Jak odnalazł się Pan podczas pierwszych dni po przyjeździe?

KR: Byłem bardzo smutny, bo z tyłu głowy ciągle kołotała mi myśl, że nie ma możliwości kontaktu, zatelefonowania do Polski itd., bo nie mieli tam telefonów [połączeń telefonicznych]. Doświadczyłem tego, że ja i wielu moich przyjaciół płakaliśmy wiele dni przed wyjazdem i toczyłem wewnętrzną walkę. Rodzina powiedziała, że otrzymam pomoc materialną i mam nie wyjeżdżać, że mi pomogą itd. Ale była żona twierdziła, że powinniśmy ratować nasze małżeństwo w Norwegii, choć i tak nie stało się tak. Więc nie było możliwości kontaktu z rodziną. Przykładowo, szedłem na spacer z synem, kiedy miał dwa i pół roku i nagle pojawił się pies. Syn powiedział, że to nasz pies i żebyśmy poszli do babci i dziadka. Wtedy zacząłem płakać.

KB: Zatem były to trudne chwile?

KR: Było ciężko. Ale z drugiej strony wielu nam pomagało, w kwestii lekarza, mieliśmy rozmowę z psychologiem itd. Otrzymaliśmy też wsparcie ekonomiczne – mieszkanie. Dla nas to był szok, iść do sklepu, gdzie można było dostać wszystko, ładne samochody, nie tak szaro jak w Polsce, kolorowe domy, specyficzny krajobraz. Szybko się uczyliśmy, a w szczególności syn doznawał różnych nowych wrażeń, które i dla nas były nowe. Przykładowo, pewnego razu gdy byliśmy w sklepie spożywczym, nasz syn gdzieś zniknął. Szukaliśmy go na parkingu i pytaliśmy czy nikt go nie widział. Byliśmy zszokowani i dopiero po kilku minutach zobaczyliśmy, że więcej sprzedawczyń patrzyło się na małego chłopca, który stał z wózkiem pełnym pomarańczy. Wziął wszystkie, prawie 100 kilo, i szedł w stronę kasy. Zatrzymały go. W Polsce wtedy, w 1984, owoce te były nie do zdobycia. Był tylko ocet, woda i chleb rano, nie było mięsa itp.

KB: Mówi Pan, że dostał Pan dużo wsparcia. Ale czy był ktoś, kto odnosił się do Was nieżyczliwie?

KR: Nie, nie, nie. Po miesiącu dostałem nowo wybudowany dom (szeregowiec) w przyjemnej okolicy. Mówię trochę po niemiecku i spotkałem sąsiada, z którym mogłem rozmawiać. Dobrze było móc porozmawiać, a on był zainteresowany tym co się dzieje w Polsce, co [wydarzyło się] mnie i dlaczego przyjechałem. Dużo pracowałem w ogrodzie i on pomagał mi przy wielu codziennych sprawach, takich jak co robić ze śmieciami itd., że powinniśmy używać worków, nie tylko stawiać rzeczy luzem przed drzwiami. Jeden Wietnamczyk, uchodźca, który uciekł łodzią [boat people], mieszkający na pierwszym piętrze w naszym tymczasowym domu, powiedział nam raz, że nie wolno nam wyrzucać śmieci. Zdziwiło mnie to i kiedy przyszedłem do niego zobaczyłem pełno karteczek z norweskimi i wietnamskimi słówkami. Cały czas się uczył, ale to było konieczne, bo nie znał żadnego innego języka. Musieliśmy rozmawiać na migi. Dla mnie tak było trochę łatwiej. Szczególnie ze starszymi ludźmi mogłem porozumiewać się po niemiecku, ale angielskiego nie znałem w ogóle.

KB: Chodził Pan na kurs, żeby nauczyć się norweskiego?

KR: Tak, zaczęliśmy kurs, ale niestety chodziłem tylko miesiąc albo półtora. Po pięciu-sześciu tygodniach dostałem pracę w gminie. Skończyłem kurs w czerwcu i nie kontynuowałem od września. Dostałem pracę w Zieleni Miejskiej i już nic nie robiłem z moim norweskim. Jedno chciałbym skrytykować ostro. Norweski sam mi wszedł, ale

czasem martwię się, że może źle używam słów. Sam sobie radzę i mam kontakt z klientami, ale szkoła to szkoła. Jak opowiadałem w wywiadzie po polsku, ojciec zawsze mówił o tym, jak ważne jest, by mieć skończoną porządną szkołę. Chciał nam pomóc tak, jak mógł najlepiej, żebyśmy mogli zdobyć porządne wykształcenie. Myślę, że popełniłem błąd nie chodząc dłużej do szkoły, na przykład doksztalając się na kursach albo zajęciach z ekonomii, tak że miałbym papier norweski potwierdzający moje kompetencje. Powinienem być raczej zapisać się do szkoły zawodowej i mieć profesjonalne i merytoryczne zajęcia, a nie tylko uczyć się od sąsiadów, z języka codziennego i nie wiadomo skąd. Dużo czytam. Pracowałem przy informacji w Solidarności, jak mówiłem, i tu także dużo czytam i wydaje dużo pieniędzy na coś do czytania. Nie lubię prasy popołudniowej (Stavanger Aftenblad), Aftenposten jest według mnie najlepszym tytułem, Dagens Næringsliv itp. Czytam dużo prasy i trochę książek. Umiem znacznie lepiej pisać niż mówić.

KB: Powiedział Pan, że bardzo trudno było skontaktować się z Polską po przyjeździe...

KR: Bardzo trudno. Wtedy trzeba było czekać wiele godzin, żeby się móc skontaktować, zamówić rozmowę telefoniczną i nie można było dobrze prowadzić rozmowy ze względów technicznych itd.

KB: Z kim się Pan kontaktował?

KR: Z rodziną, rodzicami i rodzeństwem.

KB: Miał Pan kontakt ze współpracownikami z Solidarności?

KR: Tak. W żadnym razie, moja była żona nie akceptowała tego, ani w Polsce ani tu, w Norwegii. Po okresie internowania żona zakazała mi aktywności i powiedziała, że mam się zająć rodziną, a nie Solidarnością. To samo było tutaj, gdy przez osiemnaście miesięcy byliśmy razem. Należałem do Komitetu Polsko-Norweskiego w Oslo. Uczestniczyłem w wysyłkach darów, a także w udzielaniu pomocy finansowej tu, w Stavanger.

KB: Jakie było Pana nastawienie do Norwegów po przyjeździe? Udało się Panu porozumieć z Norwegami?

KR: Zaczęto się od niemieckiego, i początkowo myślałem, że jestem bardzo zdolny. Po czterech tygodniach nauczyłem się wielu słów. Później nie utrzymałem tego tempa. Gdy pracowałem w Zieleni Miejskiej miałem okazję rozmawiać z ludźmi podczas przerwy na lunch. Trochę łatwiej mi było pracować dla gminy, niż było by w sektorze prywatnym. Ludzie byli bardzo otwarci na rozmowę. Jakbym miał czas, to bym mógł przegadać całe dni z Norwegami i sąsiadami. Byli życzliwi i otwarci; wielokrotnie opowiadałem, że w Niemczech i innych krajach odczuliśmy niechęć wobec przyjezdnych i Polaków. Ale tutaj odniosłem wrażenie, że ludzie są otwarci. Czasem czyta się w gazetach o rasizmie, ale to jest wszędzie. W moim odczuciu zostałem bardzo dobrze przyjęty przez Norwegów.

KB: Co było, w Pana przekonaniu, najtrudniejsze?

KR: Przykładowo, kiedy dałem ogłoszenie dla firmy remontowo-budowlanej i ktoś do mnie zadzwonił, żebym mu zaprezentował ofertę i wypowiedziałem pierwsze słowa łamanym norweskim, nagle musieli przedyskutować sprawę z żoną albo sąsiadem i najpierw wszystko przemyśleć. (Teraz jest inaczej po tym jak Polska weszła do UE). Zdarzyło mi się to więcej razy, może w 10% przypadków. Teraz ludzie mówią, że nie chcą zatrudniać robotników z drobnych ogłoszeń. Może się okazać, że nie są

zarejestrowani itd. Nie podawałem w ogłoszeniach, że jestem z Polski – to był bardzo mały margines. Ale część starszych mówiła, że bym przyszedł to porozmawiamy. Często zapraszali mnie później do dalszej współpracy. Z negatywną reakcją spotykałem się zazwyczaj u młodszych.

KB: **Co z Pańskim życiem później, powiedział Pan, że zaczął Pan pracować dla gminy...**

KR: Tak, w Zieleni Miejskiej. Przez około dwa lata był to rodzaj przedsięwzięcia dla imigrantów, częściowo finansowany przez państwo. Później zacząłem pracować dla NCC (Norwegian Contractors) przy kontroli betonu. To była kilkumiesięczna praca, bardzo dobrze płatna. Potem zacząłem trochę działać prywatnie jako malarz u starszych ludzi, którzy są moimi najlepszymi klientami. Nauczyli mnie także jak malować. Nie byłem w Polsce malarzem - miałem dyplom z ekonomii. Pracowałem dużo wieczorami i popołudniami, dodatkowo. Dostałem zlecenie malowania domu przez pewnego Norwega, który pośredniczył w szukaniu zatrudnienia. Pamiętam, że wtedy dostałem 50 koron za godzinę i 2 500 koron za cały dom. Ale to było w 1986. To była niska stawka. Zlecenie było dla starszego człowieka, który był księgowym i bardzo porządnym człowiekiem. Powiedział mi: "wiem, ile zapłaciłem, ale najlepsze jest to, że Pan się tego nie dowie. Pomogę Panu załatwić dom u sąsiada. Może pan zrobić malowanie i porozmawiać bezpośrednio z nim. I może Pan dostać za to 10 000 koron, cztery razy więcej. Ale nie może Pan wtedy najmować się u innych, którzy zaproponują dobrą cenę i będą Pana traktować jako podwykonawcę". Ale cieszyłem się, że dostałem dodatkową pracę wieczorami. Powiedział mi też, że mógłbym zarabiać do 30 000 i potem zarejestrować własną firmę, jeśli podoba mi się ta branża. Uratował mnie i udzielił wsparcia, że bym mógł stanąć na własnych nogach. Pracowałem też przez jakieś dwa-trzy lata dodatkowo u Norwega, który był właścicielem koparki. Uczyłem się od niego. Pracował na Morzu Północnym i wykonywał różne prace, jak miał urlop. Był bardzo aktywny. Imponował mi, i był przeciwieństwem tego, czego doświadczyłem pracując w Zieleni Miejskiej. Pracował bardzo szybko. Zacząłem robić to samo.

KB: **Kiedy zaczął Pan pracować na własny rachunek?**

KR: Przez kilka lat pracowałem w różnych miejscach jako monter, ogrodnik i inne. Już minęło prawie 18 lat od założenia firmy. Teraz mam czterech pracowników i idzie dobrze.

KB: **I jak się nazywa Pańska firma?**

KR: Używam imienia i nazwiska, firma malarska Rochowicz . Ale używam też nazwy Karo-hus, pierwszych sylab imienia i nazwiska. Nie wydawałem dużo pieniędzy na marketing i nie reklamowałem się w gazetach. Ale miałem setki klientów, którzy po prostu dzwonili. Przez ostatnie dwa-trzy lata firma idzie dobrze. 2009 był rokiem ogólnego kryzysu, ale u mnie akurat działalność się wzmogła. Być może pierwszy raz w 2009 będę na liście milionerów, opracowanej na podstawie zeznań podatkowych. Miałem obrót trochę ponad milion. Ale państwo bierze połowę.

KB: **Jakie były według Pana najważniejsze wydarzenia w Norwegii?**

KR: Mógłbym usiąść w domu i przemyśleć takie pytanie i przesłać Wam [odpowiedź]. Złe doświadczenie, jakie zaważyło na kilka lat nad moim życiem, to rozwód, który odbył się tutaj. Przeżyłem go bardzo ciężko i szczególnie. Pamiętam do dziś, że musiałem wyprowadzić się, bo nie byliśmy zgodni co do tego, czy powinniśmy mieszkać razem tutaj. To było duże mieszkanie, a ja chciałem mieć tylko mały pokój, bo byłoby mi bardzo smutno opuścić syna i być z dala od niego. Bardzo to przeżyłem i odbiło się to

na moim zdrowiu.

Przyjaciele mówili mi, żebym przestał o tym myśleć i żebym znalazł sobie inną kobietę albo po prostu żebym uporał się z tym i szedł dalej. Musiałem dochodzić moich praw sądownie, żeby móc widywać syna. Możliwość spotkań z synem była dla mnie wielkim przeżyciem, ale nagle odebrano mi ją z wielu powodów, którymi niedostatecznie się zająłem. W każdym razie, stanęło na tym, że jesteśmy w kontakcie. Kontaktuję się z byłą żoną, to nie stanowi problemu. Mieszka tu. Mamy dobry kontakt i zostaliśmy dziadkami. To był punkt kulminacyjny. Fantastyczne przeżycie. Spotykamy się często. Syn ożenił się z dziewczyną, której ojciec jest Norwegiem a matka Filipinką. To wspinała dziewczyna.

KB: Jaki jest Pana kontakt z Polską obecnie?

KR: Często przyjeżdżam do Polski. Prawie co drugi miesiąc, często zatrzymuję się u rodziny. Ale jestem tam tylko na chwilę, nie mogę tam wysiedzieć.

KB: Ma Pan kontakt z Polakami, którzy tu przyjeżdżają?

KR: Tak. Działam bardzo aktywnie w kościele katolickim i w środowisku katolików. Dla mnie to coś pozytywnego w protestanckim państwie. W przeszłości były konflikty z Reformacją, Luter itd. Ale to stara historia. Obecnie jesteśmy w takiej sytuacji, że nam, Polakom z pochodzenia, bardzo podoba się w Norwegii. Przyjeżdża nas coraz więcej w ostatnich trzech-czterech latach. Jesteśmy dumni, że wolno nam wynająć norweskie kościoły, kiedy nie są używane i odprawiać nasze katolickie msze. Katolicy księża wyjeżdżają także na małe wyspy. Norwegowie mówią nam, że wreszcie nasze kościoły stały się cieplejsze. Wynajmujemy kościoły do odprawiania mszy katolickich, ale według nich to wspaniale. Tak czy inaczej, mamy jednego Boga w chrześcijaństwie. Wszyscy jesteśmy chrześcijanami. Najważniejsze jest to, że to otwarty kraj i mamy ogromne możliwości. Tu są katolicy z prawie stu krajów.

KB: Angażował się Pan w działalność polityczną albo społeczną w inny sposób?

KR: W kościele pracowałem w radzie parafialnej okresami i również w norweskiej parafii katolickiej. To ta sama parafia, ale ma msze po polsku. W radzie parafialnej jest też wielu Norwegów, Wietnamczyków, Tamilów, jeden Niemiec i ja jako jedyny Polak.

KB: Jeśli miałby Pan ocenić swoją obecną sytuację – jak się Panu żyje w Norwegii?

KR: Prawie jakbym się całkowicie zakorzenił. Zostałem dziadkiem, a mój syn się ożenił, i myślałem, że tak czy inaczej, pobędę tu aż do emerytury i potem, albo trochę wcześniej przeprowadzę się do Polski. W końcu to mój kraj, tam jest moja rodzina, i przyjaciele itd. Absorbuję mnie życie polityczne w Norwegii, ale jeszcze bardziej w Polsce. Mam media i wszystko jest dostępne. Ale ostatnimi laty myślałem, że się nie przeniosę do Polski, tylko zakorzenię się tutaj na dobre. Mieszkanie i zameldowanie tutaj, stałe mieszkanie, etc i zmniejszyć aktywność trochę przed osiągnięciem wieku emerytalnego. Podejdę do tego na spokojnie, będę miał mniej pracy i więcej czasu na pobyty w Polsce. Myślę, że będzie to życie trochę tu, trochę tam, tu i w Polsce.

KB: Czy cały czas chciał Pan mieszkać tutaj w Stavanger?

KR: Tak, cały czas mieszkałem w tej samej okolicy, w Hafsfjord. Miałem dwa czy trzy mieszkania, a teraz mam dom.

Jacek Galewski: Sporo pan już o tym powiedział, ale chciałbym zapytać, po

polsku teraz, o pańskie związki z Polską.

KR: O tym, to właśnie ja tu pani opowiadałem, że jestem bardzo aktywny. Właśnie to, co... No, w mediach mamy, wiadomo, te wszystkie programy, codziennie się przeskakuje i tak dalej. I staram się jeszcze trochę na niezależne, nie tam słuchać jednych tylko...

JG: A czyta pan polskie gazety?

KR: Też. No, teraz to każdą na Internecie można. Ale mimo wszystko, to wolałbym tą świeżą i ciepłą gazetę. Tak, że moimi tytułami, takimi, już na wycucie, na doświadczenie, to „Rzeczpospolita”, no, bo tam ekonomista i tak dalej, jest to w miarę niezależna... Jedni krytykują, że to opozycyjna już gazeta, nie? Ale mimo wszystko, no, jest rzeczowa... Dobry materiał. Czasami też kupuję tą, „Wyborczą”, to jednak omijam, bo mimo wszystko, to mogliby być lepsi. Omijam. Za duża tendencyjność tam. „Nasz Dziennik”, bo to wiadomo, że moje katolickie przekonania, ale widzę, że też się poprawia, że bardzo porządne artykuły. Ale ja tam patrzę na sprawy ekonomiczne, czy takich ludzi, którzy tam piszą, jakieś autorytety. Czasami jest cytowana, często w tych przeglądach Polskiego Programu Pierwszego Radia. Radia słucham, „Sygnały dnia” to mam włączone codziennie, wiem, co się dzieje.

JG: Nie ma różnicy czasu, tak, że jest dość wygodnie pod tym względem.

KR: Nie ma. Tak, ale że to właśnie nie wszystkie tam te... Nie jakieś tam TOK FM, czy tam ten, ale czytam „Nasz Dziennik” słucham „Sygnałów Dnia”. Program Pierwszy i „Trójka”, no, bo ciekawa w ogóle, porządna też stacja. Ale też włączam TVN24, TV Info to też jest dobra, ale to wiadomo i TV Polonia, to też się poprawiło, bo dostali trochę wsparcia. Bardzo porządne programy TV Polonia.

JG: A utrzymuje pan z kimś stałe kontakty?

KR: Mam od samego początku, jak po Okrągłym Stole, pierwsze wybory, potem samorządowe, gdy jeszcze AWS tam mocny był w tym mieście, w ławie, to zawsze miałem kontakty z ludźmi.

JG: Czy był pan w Polsce przed 1989 rokiem? Rozumiem, że to nie było formalnie możliwe?

KR: Chciałem paszport konsularny, ale mi nie dali, bo powiedzieli, że muszę czekać dwa lata. A chciałem wcześniej, nie?

JG: A kiedy starał się pan o paszport po raz pierwszy?

KR: No, zaraz tam, za rok po wyjeździe. Był 1985 może.

JG: Czyli właściwie natychmiast?

KR: No, bo to było o konsularny. Napisali, że mogę konsularny. Bo tak koledzy zamieniali inni sobie, przyjeżdżali. A okazało się, że mi napisali, że nie, że mam dwa lata czekać. I ja oczy otwieram, bo tu inni dostali, moi koledzy z internowania tutaj. No, bo była taka przyczyna, że jak ja wyjeżdżałem w jedną stronę, to było kolejne podejście o... Propozycja współpracy z SB. „Pan wyjedzie, to pan zobaczy, jak to jest tam lekkie życie na Zachodzie”. Tak ubek zaczął mówić wykład. Że „pan dopiero zobaczy, pan taki hardy, taki, że pan opuszcza...”. Ofiarami tych propozycji padło w Polsce wielu. Jak historycy badają, to wielu współpracy, jakiejś tam, pewnej, no, oględnej tam. Każdy myślał „a tam będę go oszukiwał i tak dalej, coś mu powiem i tego. Coś podam i żebym miał spokój, żeby mi dał ten paszport”. A jak się jeździło, to ludzie musieli ciągle do SB chodzić, żeby paszporty dostawać. Przy naszych politycznych wyjazdach, to tym

bardziej. No i właśnie „pan będzie chciał do rodziny, pan zażęskni, panie Rochowicz. To czy pan nie będzie chciał paszportu?”. „No, to pewnie, jak konsularny wystawiliście”. „No, tak, tak, proszę pana, ale my decydujemy. Oni przysyłają do urzędów wojewódzkich, my decydujemy, czy paszport pan dostanie konsularny, czy nie”. Tylko że on tego nie mówił wtedy. Nie nazwał tego wprost. A potem to się okazało, że „współpraca... Próby współpracy, żeby pan coś meldował, jak pan może przyjechać tu... Dostanie pan paszport bez problemu, ale pan do nas przyjdzie, podzieli się jakimiś informacjami, wie pan. Będzie lżej i panu, i nam tutaj. I rodzinę pan odwiedzi, no”. Ja mówię „proszę pana, jak ja już nie poszedłem na współpracę, rok czasu odsiedziałem w więzieniu, z wami nie podjąłem współpracy, to teraz, jak ja już wyjeżdżam za granicę, do wolnego świata”, bo wtedy już zupełnie się już otworzyłem, „do wolnego świata z tego tutaj komunizmu...”. „A to pan opuszcza swoją rodzinę, przecież tutaj wszyscy... I tak większość tu zostaje”. Ja mówię „dobrze, ale ja tam przynajmniej pomogę tym ludziom tu, swoim. I rodzinie, i tym znajomym, bo tam jednak godnie się płaci i to już mi z tego wystarczy, żeby jeszcze się podzielić”. Tak do niego mówię. Ja z nimi hardo, że „już koniec, teraz mnie na pewno na to nie naciągniecie”. No, ale okazało się, że potem jednak nie dostałem przez to zgody. Dlatego że oni zadecydowali, że nie. I w tym czasie dlatego kontakt miałem tylko listowny, przez wysyłanie tam pewnej pomocy charytatywnej dla moich ludzi kilku z ławy. To nie tylko to, ale wysyłaliśmy też takie maleńkie miniatury „Kultury” paryskiej, czy wydawnictw „Kultury” paryskiej. W proszku do prania to się robiło różne rzeczy... W proszkach ładnie zawijało, bo nauczyłem się w internowaniu jeszcze, jak przemycać. Do mnie, czy ode mnie też, dla rodziny, jak Kościół przywiózł za dużo na przykład proszku do prania, czy kawy. Wtedy kawa, Boże, to było jak wymienna, piękna waluta. Lepsza nieraz niż dolar. I tym kilku znajomym tam... Wspomagałem ich. Kontakty telefoniczne to rzadkie były. To była sytuacja jeszcze pewnej... Interwencje do „Wolnej Europy” po tym, jak zamknęli z pielgrzymki z Gdańska, to był 1987. Wracali moi znajomi, moi przyjaciele z ławy, z którymi ja współpracowałem, z pielgrzymki z Zasp. Gdzieś tam mieli zadołowaną flagę, gdzieś w torbie schowaną, ale ją wyciągnęli, bo jeszcze, jak na filmach patrzyłem, na TVP Historia, to znalazłem plakat z ławy. No i tam ich wyłapali, i uwięzili, przewieźli do aresztu w ławie. No i do mnie dzwoniли, i żeśmy zadziałali, że tu, przez Gajowniczkę, on był korespondentem Radia „Wolna Europa”. Za trzy dni było już w „Wolnej Europie”, że w ławie aresztowano i to taka była satysfakcja drobna.

JG: Tak. A jak pan ocenia zmiany w Polsce od 1981 roku? Wspomniał pan o Okrągłym Stole...

KR: To wiadomo, że teraz... Ja wtedy to przeżywałem i autentycznie przyjmowałem jako wielkie wydarzenie. Wtedy. Natenczas. To racja, to myśmy... Mamy zdjęcia takie, „Wolnej Europy” słuchaliśmy. Była wtedy rodzina moja, rodzice... Postawili odbiorniczek i słuchali wieści, co się dzieje, że są pierwsze wybory faktyczne... Wszystkie miejsca nasi zdobyli, to, co tam mogli, te ustalone przy Okrągłym Stole. Że faktycznie potem ruszyła ekonomia, od ulic, od tych straganów na łózkach, że to było rewelacyjne naprawdę odbicie. No, niepowtarzalne chyba potem już nigdzie w Europie, w innych krajach, co Balcerowicz akurat, którego tam znałem, tak o tylko tyle, przez... Nie bezpośrednio, tylko, że tam był na SGPiSie i trenował, biegał, bo ja też biegałem, średnie dystanse, w sporcie. To wtedy bardzo pozytywnie, ale potem, jak już rząd Olszewskiego przyszedł i ten przewrót, który Wałęsa zrobił, że, cofnięto, jeśli chodzi o rozliczenie... Główna sprawa, że nie rozliczono, jak w Niemczech, jak w Czechach, najważniejszych osób. Nie zastopowano ich przed dalszą aktywnością, szczególnie ekonomiczną. No, bo przejęli wszystko. Miałem takie odczucie, jak gdzieś byłem w Polsce, tak przysłuchiwałem się rozmowom, w urzędzie, w jakiejś centrali handlu

zagranicznego... Tam dyskusje na korytarzach normalnie takie były między tymi pracownikami, że tam była sama komuna, która przejmowała państwowe firmy i w sposób po prostu jawny dostali się do rządu majątkiem i marnotrawienia tego. To, czego potem się dowiedziałem, już naprawdę od wielu znajomych, tak w regionach. Te prywatyzacje. Że mimo wszystko to poszło... No, to miało niby... Ale poszło to tak, że doszli do władzy ludzie nieodpowiedni po prostu. Z komuny, z funkcjonariuszy tam.

JG: Czy gdyby się pan miał porównać ze swoim rówieśnikiem, który został w Polsce, czy uważa pan, że pańska sytuacja jest lepsza czy gorsza?

KR: Teraz powiem... Ponieważ... Że sytuacja moja jest gorsza, niestety. Mimo że jestem może mocny ekonomicznie, bo tu wspominałem o tym pierwszym milionie. W Polsce to pierwszy milion, to mówią, to jest pewne że się kradło. Bo tak było. Ja mam takich znajomych, co prowadzą firmy, właśnie moi rówieśnicy, po studiach. To mówili, do dzisiaj jeszcze łapówki, rynek nie działa, tylko wielkie się robi przekręty. Do dzisiaj tak jest, dzięki tej nomenklaturze, która weszła i bezwzględnie, bezczelnie się rozpycha... I do tego prowadzi, że nie ma kontroli nad tym. Za słaba była ze strony opozycji, no. Nie byliśmy mocni ekonomicznie... Bo skąd?

JG: A dlaczego uważa pan, że jest w gorszym położeniu?

KR: No, właśnie... Bo ekonomicznie, to mocnym, to tak. No, ale ja jestem tutaj, niestety. A wolałbym... A wolałbym mieć mniej i być jednak w kraju, wśród swoich. Bo żyję bardzo wydarzeniami, to, co się dzieje, że można by... Mi się wydawało, jak wyjeżdżałem, że ja zrobię za granicą więcej, to jest racja, na pewnym etapie, te pierwsze lata, wspomnienia, nawet rodziny też, bo wielu z nas... Nie tylko, ale każdy swoją rodzinę też wspomagał, że naprawdę żeśmy dużo pomogli, to jest racja. No, teraz jeszcze bardziej, to są miliardowe żyły złota i płyną do Polski, jak tutaj pracują też. To myśmy to rozpoczęli. No, ale niestety, się tak... Cały czas takie mam marzenia i myśli, że, Boże, jak ja bym tam był na miejscu, w tych lokalnych właśnie... W Polsce powiatowej, gminnej jest dalej tylko i wyłącznie nomenklatura. Jest bardzo mała solidarnościowa, ta prawdziwa kadra. Ona nie ma żadnego wpływu. To jest niby, wiadomo, że to oni się przypisują. To ja z swoich terenów znam, że tamci, którzy teraz nawet do PiSu wchodzi, nawet właśnie do tego, nie mają nic wspólnego, nie mają tego kręgosłupa. Nie mają jakichś takich... Charyzmy jakiejś. Drobnego autorytetu w tym terenie. I to mówią mi ludzie z wielu regionów. To tylko na południu można spotkać. Ale w tej Polsce północno-środkowej, gdzie przepływ ludności był i tak dalej, to niestety jest po prostu fatalnie, że nie ma tego wielkiego powiewu, no, solidarności. Tej wielkiej idei, która była przepiękna, naprawdę potrzebna. No i dalej jest potrzebna. Bo... Właśnie. I jak bym tam był... No, ale właśnie, no to trzeba wyjechać, bo... Ja też tam dużo wspomagam w kampaniach i tak dalej moich... No, wiadomo kogo. Ja PiS wspieram. Jestem w kontakcie i z Olsztyna... No, z Ławy, z mojego terenu, to nawet nie, bo tam fatalnie działają, tam tylko skrawki... Nie są już tego formatu ludzie i nawet, no... Zupełnie bez jakichś podstaw takich. A szkoda po prostu, że brakuje autorytetów do takich małych, na terenie... Już nawet nie chodzi tylko o PiS. I w innych partiach też. Że tylko patrzą wszyscy na górę i tylko ta ordynacja wyborcza większościowa, która wszystko psuje, bo jakby weszły jak Tusk, czy wielu obiecało, okręgi jednomandatowe chociaż w samorządach, to by się wreszcie rozpoczęła demokracja, wreszcie czyszczenie tego od podstaw, tej Polski. Jak ja bym tam był, to ja bym to... Bym od razu... Bo ja dużo jeżdżę, ja dużo wspomagam, dużo rozmawiamy. No i teraz mamy wybory, to jeszcze dzisiaj spieszyłem się, kabiny trzy załatwiliśmy w komunie, tutaj w mieście Stavanger, od Norwegów, do głosowania. Tak, że robimy punkt wyborczy tu, w Stavanger, 20 lipca. Jestem w komisji, a jednocześnie mężem zaufania z PiSu.

JG: Chciałbym zapytać, jak pan ocenia swoją decyzję o emigracji. Gdyby pan był ponownie w tej samej sytuacji, pan, teraz...

KR: Z tą wiedzą...

JG: Z tą wiedzą, która pan ma teraz. Jak by pan postąpił?

KR: Że bym nie wyjeżdżał, bo jak wyjeżdżałem, to taki... To płacz, to takie rozdarcie serca... Pamiętam, brat, który nigdy nic mi nie mówił, nie komentował tego, że ja wyjeżdżam. Ale jak już się żegnałem, bo już jechałem do Warszawy na lotnisko, to mówi „Kazmierz, szkoda...”. Tylko mi tyle powiedział, ale... To było po tym, spotykamy się w rodzinie... „Że szkoda, bo strata, bo tu byś... Tu można, mimo wszystko, że tak jest, to można by...”. On nie dopowiedział, teraz to mówimy, jak spotykamy się na urodzinach mojej mamy. On tam też... Przez to właśnie, to przeze mnie tak się zaangażował. On nie był w „Solidarności”. Nawet do „Solidarności” się zapisał już po Okrągłym Stole, jako nauczyciel. A starszy ode mnie jest, nie? No, ale właśnie to oddziaływanie, tak jak mój dziadek, mój ojciec na nas, tak teraz ja może na tych moich braci. Też tam są zaangażowani. Mimo że na wiosce, gdzie naprawdę ta wieś, no, patriotyczna, czy ten powiew nie dochodził, tylko przez „Wolną Europę”, a jednak politycznie zaangażowani są po stronie akurat PiSu, nie?

JG: Czy zna pan kogoś, kto wrócił? Chciałbym spytać na zakończenie, jak pan ocenia taką decyzję.

KR: Niestety. Jakaś osoba z Oslo, ale nie jest to... No, właśnie trochę wróciło. Tam się czyta gdzieś. Wróciło trochę, wróciło. Ale bardzo mało, bo niestety, jak się wyjeżdża z dziećmi i potem się wszystko zakorzenia tutaj, to wygląda na to, że tego drzewa znów przesadzać nie można i to są małe bardzo wyjątki. Ale uważam, że jakby był jakiś system, jakiś rewolucyjny może, nie wiem, jaki... No, ale jaki? Jaki, no? Że gospodarka... Bo to przede wszystkim to. Ja już myślę o tych nowych, co tu przyjechali, czy oni wrócą. Ja na przykład, jak z nimi się spotykam, to ja mówię „tutaj tak nie mówcie, że to tak jest... Myślcie o powrocie, że wy tym bardziej macie szanse, możecie w otwarty sposób, nie jak ja, że musiałem się ukrywać, jak gdzieś tam się pracowało na czarno, na początku przynajmniej jeszcze, przed rejestracją firmy. To człowiek się bał, a teraz to wszystko jest... Naprawdę, jesteście oceniani ogromnie wysoko jako pracownicy. I można naprawdę tu zarobić i się przenieść, bo macie faktycznie możliwości. Ale też wielu, jak spotykam, to myśli... Naprawdę, to jest niedobre... Z tych młodych rzadko który mówi, że wróci. Bo już po czterdziestce, po pięćdziesiątce, to mi mówią, że tam mają rodziny. Ale większość mówi z tych młodych, z tych młodszych szczególnie, że nie, że chcą zostać tutaj. Mimo że są szanse dużo większe niż wiele lat temu... Przed Okrągłym Stołem. A mimo wszystko to jest to samo. A tutaj my, no, tak... Nas dużo wraca w ten sposób, że mieszkania każdy z nas, właśnie tych solidarnościowców, osiemdziesiąte lata, każdy z nas ma. Coś tam, jakąś działkę, mieszkanie, to mają wszyscy. Tak powiem 99 procent. To jest pewne. Że jednak to jest zakorzenione. Ale tak na zasadzie, że tak jak Norweg, na Ibizie, w Hiszpanii i tu. To tak jak świat współczesny. W inny sposób zupełnie.

Dziękujemy za rozmowę.

Zapis i redakcja fragmentów nagrania w języku polskim: Jacek Galewski.

Zapis i redakcja fragmentów nagrania w języku norweskim: Karen Bleken.

Norweskie tłumaczenie zweryfikowane przez G. Szelągowską